Nr. 282. Lwów — Sobota dnia 7 Grudnia Rok 1907.

PRZEGLĄD
polityczny, społeczny i literacki.

Dziś: św. Ambrożego | Katarzyny
Jutro: Niep. Pocz. NMP. | Klemensa Pap.
Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca o godz. 7 min. 6
Zachód „ „ 3 „ 24
Długość dnia godzin 8 min. 18
Ubyło dnia od wczoraj 1 min.

Wrażenia petersburskie.

Piszą nam z Petersburga 2 grudnia.

(*B*). Słowiańska demonstracya w austryackiej Radzie państwa sprawiła tu większe wrażenie, niż pruskie projekty wytępienia Polaków. Rzec można, że się zawstydzono. Wprawdzie Rosyanie nie mają dziś ani czasu, ani ochoty myśleć o Słowianach, jednakże tak długo uważali się za ich opiekunów, że nawykli do tej roli i przykro im, iż się nie odezwali wtedy, gdy inni Słowianie silnie zaznaczyli swą solidarność, przykro tembardziej, że z mowy Bülowa można się domyśleć rosyjskiej zgody na tępienie Wielkopolan. Doznano tu więc takiego wrażenia, że oto rola przewodnictwa w świecie słowiańskim została wydarta Rosyi. Napróżno dziennik półurzędowy „Rossija“ i wyznające zasady prawicy w dumie starają się przemilczeć i zbagatelizować pruskie ustawy wyjątkowe, oraz demonstracyę wiedeńską: o tem się ustawicznie mówi wszędzie, a głos ogółu łączy się z opinią słowiańską. Ubolewają nawet październikowcy, że — jak oni się wyrażają — „sprawa polska stanęła na rozdrożu“. Zdolny publicysta p. Frigidus, sprawozdawca *Rusi* z dumy, zapisując odniesione w niej wrażenia, powiada: „Nadszedł dla nas moment decydujący, mamy sposobność do poprowadzenia spraw tak, aby Rosya się zjednoczyła, tylko musimy zapytać naszego sumienia, a nie żołądka. Pruska polityka rzuca ciekawe światło na niektóre szczegóły naszego życia. Oto szpieg wojskowy Gustaw Schmidt sprzedawał Niemcom tajemnice Kronsztadtu. Ułaskawiony wskutek zabiegów ambasady niemieckiej, musiał tylko zdjąć oficerski mundur, ale wkrótce potem otrzymał rządową posadę w Mińsku, tam się natychmiast przedzierzgnął w najprawdziwszego Rosyanina i przy pomocy popów i czynowników zdobył mandat do dumy, gdzie zjada Polaków jak prawdziwy bakatysta. Jest wielka figura w związku prawdziwych Rosyan. Co im zawinili Polacy? W Mandżuryi umierali obok Rosyan, choć bez pożytku dla państwa; umierało ich więcej niż Rosyan w stosunku procentowym, bo kiedy jest ich w państwie tylko 10%, to na wojnie było ich 25%. Wybuchła potem rewolucya. Polacy — jak my wszyscy — liczyli na konstytucyę, na dobrą wolę bratniego narodu. Sami zapobiegli zbrojnemu powstaniu w Polsce, bo jużci rząd nie mógł zapobiedz. Nie chcieli narażać państwa, w którem zamierzali urządzić swą przyszłość. Ich projekt autonomii dowodził, że w każdym razie szanowali interesa państwa. Ale zrezygnowali nawet z autonomii, pragną tylko koniecznych reform, hasłem ich jest dobro narodu, a więc idą ręka w rękę z nami. A tymczasem — czem się im rząd odpłaca, czem „prawdziwi“ Rosyanie? Zaiste, przedziwnie gorzki los tego narodu! Przez wieki wiernej służby nauczali Turków, Tatarów, Mongołów, aż się dostał pod niemiecki obuch. My zaś patrzymy na to, jakby na coś korzystnego dla nas!“

Tak rzeczywiście mówi ogół publiczności i ogół posłów. Zaczęto też okazywać pewną uprzejmość Kołu polskiemu. Znikomo małe, bo stanowiące zaledwie 24-tą część całej dumy, nie jest jednak ignorowane. Do każdej komisyi są wybierani jego członkowie, chociaż z reguły nie stawiają swych kandydatur i wcale nie zabiegają o wybór, zostawiając miejsca w komisyach członkom liczniejszych stronnictw. Wybór aż trzech Polaków do komisyi finansowej, liczącej ogółem 33-ch posłów, wydał się nawet przejawem pewnej demonstracyi. Lecz bynajmniej nią nie jest. Wybrano gruntownych, może najlepszych w dumie znawców spraw finansowych. P. Żukowski zdawna znany jest w Rosyi jako specyalista we wszystkich zagadnieniach finansowych. P. Grabski w komisyi budżetowej drugiej dumy zwrócił na siebie uwagę sumiennością w opracowywaniu przydzielonych mu referatów. Wreszcie p. Montwiłł, prezes Wileńskiego Tow. kred. Ziemskiego, zdawna znany jest jako specyalista w dziedzinie gospodarstwa pieniężnego i fiskalnego. Wybrano więc ich do tej ważnej komisyi nie dlatego, że są Polakami, ale że się znają na rzeczy. Pomimo tego ma pewne znaczenie fakt, że do wszystkich komisyj Polacy są wybierani większą liczbą głosów, niż trzy razy liczniejsi od nich kadeci. Pewne faworyzowanie członków naszego Koła, oczywiście, niema politycznego znaczenia, ale dowodzi, że są oni szanowani za dobry ton, za powściągliwość i szczerość. Jeżeli utrwalimy za sobą taką markę, przyniesie to nam w przyszłości niezawodną korzyść.

Ministeryum Stołypina przedstawiło dumie projekt zmian w ukazie o tolerancyi religijnej. Zmiany mają być takie, że władze administracyjne nie będą obowiązane troszczyć się o to, aby nikogo nie nakłaniano do przejścia z prawosławia na inne chrześcijańskie wyznanie; gubernatorowie będą uwolnieni od obowiązku doglądania, iżby młodzież w szkołach i na uczniowskich stancyach była wychowywana w zasadach „prawdziwej religii“, za jaką dotąd uważa się tylko prawosławie; policya nie będzie obowiązana baczyć, aby nie krytykowano prawosławia. W przyszłości wszystko to ma należeć do właściwego duchowieństwa, które będzie mogło odwoływać się do sądów. Ponieważ jednak równocześnie będzie zniesiona niezawisłość sędziów, a otrzymają oni nakaz stosowania się do intencyi rządowej, przeto w gruncie rzeczy obowiązek opiekowania się prawosławiem będzie przerzucony tylko na inne rządowe czynniki. Ale kler prawosławny będzie musiał pracować, co mu może się nie podobać. Ten więc projekt p. Stołypina spotka się z opozycyą prawicy w dumie.

Skoro jednak rząd zamierza uwolnić administracyę polityczną od obowiązku troszczenia się o prawosławie, a włożyć ten obowiązek na popów i sądy, to nader dziwnem wydaje się wydane teraz przez ministeryum spraw wewnętrznych rozporządzenie, aby zagranicznym księżom katolickim nie wydawano wiz do guberni siedleckiej i lubelskiej, gdzie są niedawni unici. Jeneralny gubernator warszawski, oraz gubernatorowie obu tych gubernij otrzymali rozkaz usuwać owych misyonarzy, a rosyjscy ambasadorowie i konsulowie nie będą odtąd wizowali paszportów tych misyonarzy katolickich, którzy zechcą udać się na Podlasie.

Koło polskie w dumie ostro się dziś starło z prawdziwymi Rosyanami na korytarzu pałacu Taurydzkiego. Poszło o kadeta Rodiczewa, który krytykując deklaracyę p. Stołypina powiedział, że to, co się dotąd nazywało krawatami Murawiewa, będzie odtąd nosiło nazwę kołnierzy Stołypina. Prezydent Chomiakow zaproponował, aby za to wykluczono Rodiczewa z 15-tu posiedzeń, szło więc o to, żeby ten wniosek był przyjęty o ile możności przez całą izbę. Kwestyę postawiono tak, że nie o to chodzi, czy Rodiczew wyraził się trafnie, lecz o to, że się wyraził nieprzyzwoicie, obniżając poziom dyskusyi. Nadto, że obraził p. Stołypina. Prezydent Chomiakow ma za sobą wszystkich, lub prawie wszystkich, bo to podniesie znaczenie dumy w oczach rządu i sfer dworskich. Otóż z propozycyą, aby Polacy głosowali za wykluczeniem Rodiczewa, zbliżył się do nich na korytarzu hr. Bobryński z Puryszkiewiczem, Kelepowskim i innymi. Była to po prostu niegrzeczność, bo Polacy, dotknięci przy powyższych słowach, bronili Polaków. Hr. Bobryński rzekł podniesionym głosem i z gwałtownymi gestami: „Zmiłujcie się panowie! alež to jest coś niesłychanego! Żeby prawego człowieka, dzielnego męża stanu Stołypina porównać z Murawjewem! To z Murawjewem!“ Odpowiedziano mu: „Hrabia zapomniał chyba, że takiemu Murawjewowi postawiono pomnik w Wilnie i na jego odsłonięcie kazano pójść Polakom, jako na dowód, że oni rozumieją i uznają państwową ideę rosyjską, bez czego nie otrzymają obywatelskiego równouprawnienia“. Trzęsąc głową zawołał Bobryński: „To było, ale dziś inne czasy.“ A na to znowu Polacy: „Właśnie dziś p. Puryszkiewicz wychwalał w izbie Murawjewa, jako znakomitego męża stanu i żałował, że go teraz nie ma. Więc nie jest obrazą dla p. Stołypina, że go porównano z Murawjewem. Będziemy więc głosowali przeciw wydaleniu Rodiczewa“. Rozeszli się zagniewani.

Orędzie Roosevelta.

Z powodu ogromnego krachu, który dotknął Stany Zjednoczone, a był spowodowany walką władzy państwowej z trustami i szkodliwą ich działalnością, wszędzie z zaciekawieniem oczekiwano orędzia, które prezydent unii co roku wystosowuje do senatu i izby reprezentantów w dzień otwarcia kongresu. Wiedziano, że w orędziu będzie mowa o krachu i jego skutkach, o trustach i sposobach walczenia z nimi, o uregulowaniu obrotów pieniężnych, wreszcie o handlu zagranicznym. Orędzie Roosevelta w znacznej mierze zawiodło oczekiwania. Prezydent oznajmia, że żadnych reform nie potrzeba. „Nasze zasoby materyalne — powiada on — są olbrzymie; żaden naród na świecie nie posiada większych. Równie wielka, największa na świecie, jest nasza sprawność kupiecka i przemysłowa. Interesa wogóle są prowadzone sumiennie i z wybitnem znawstwem. Przeto niedorzecznie postępują wszyscy ci, którzy chowają pieniądze, zamiast skadać je w dobrze prowadzonych bankach. Właśnie tylko owo chowanie pieniędzy wytworzyło brak gotówki, czego następstwem było przesilenie pieniężne, a rozmiary jego świadczą o ogromie naszych interesów. Przesilenie byłoby znacznie większe, gdyby nasi fermerzy i przemysłowcy, nasze banki i zarządy kolejowe prowadziły interesa z mniejszą sumiennością. Niezaprzeczenie wszędzie są lekkomyślni lub wręcz nieuczciwi, ale okazało się podczas przesilenia, że biorąc na ogół, interesa są prowadzone uczciwie, dokładnie i z wielką znajomością rzeczy. Wszelkie nadużycia powinny być karane. Tak sądzi cały ogół ludności, nietylko dlatego, że tego wymaga sprawiedliwość, lecz jeszcze z tej racyi, że nadużycia szkodzą wszystkim. Wszelka więc nieuczciwość w prowadzeniu interesów powinna być wytrwale ścigana, w tym przeto celu musi być dana władzy państwowej możność kontrolowania wszystkich finansowych stowarzyszeń, prowadzących księgi dla akcyonaryuszy. Te księgi i inne akta, dotyczące interesu, powinny być od czasu do czasu kontrolowane przez odpowiedzialnych urzędników państwowych, ponieważ akcyonaryusze nie zawsze umieją i mogą wykonywać dostateczną kontrolę. Również nie mogą być cofnięte postanowienia, oddające trusty pod nadzór władzy państwowej, jednakże nowe ustawy nie są potrzebne. W kraju wytworzył się prąd przeciw naszym taryfom opiekuńczym, ponieważ one przyczyniają się do rozwoju kapitalizmu z jego niebezpiecznymi skutkami. Lecz to zapatrywanie jest jednostronne. Nasze taryfy przyczyniły się także do znakomitego rozwoju naszego przemysłu i handlu wywozowego; one także sprawiły, że skarb państwowy znajduje się w świetnym stanie. Niezaprzeczenie każde państwo powinno co pewien szereg lat zrewidować swą taryfę celną i dostroić ją do nowych warunków ekonomicznych, jednakże zanim to zrobią Stany Zjednoczone z zamiarem obniżenia taryfy, muszą wpierw zaprowadzić podatek osobisto-dochodowy i spadkowy“.

A więc, zdaniem Roosevelta, wszystko jest w porządku i reform nie wymaga. Jankesi zadają więc teraz sobie pytanie, dlaczego Roosevelt ułożył takie orędzie? Czy dlatego, że pod koniec swego urzędowania nie chce projektować rzeczy, których sam już nie będzie mógł wykonać, czy też dlatego, że zamierza kandydować na drugie czterolecie i nie chce przed wyborami przysparzać sobie przeciwników? Podejrzliwi mówią, że za pośrednictwem miliardera Morgana rozpoczął układy o pokój z arcymiliarderem Rockefellerem.

Chociaż to nie wygląda na Roosevelta, ale ostatecznie jest możliwe. Bo mówi się przecież, że nie ma tak wielkiej politycznej przepaści, którejby nie zasklepił interes

Korespondencye.

Wiedeń, 5 grudnia.

(Pogorszenie się bilansu handlowego naszej monarchii. — Z obrad ankiety drożyźnianej. — Powstanie wielkiego sanatoryum).

(y). Ministerstwo handlu ogłosiło właśnie bilans handlu zagranicznego naszej monarchii za październik br., stwierdzający znaczne pogorszenie się w porównaniu z rokiem poprzednim. Mianowicie wynosił w październiku br. eksport naszych produktów za granicę 193,600.000 kor., import zaś zagranicznych towarów do Austryi wynosił 196,700.000 koron, tak, że w rezultacie wynika nadwyżka bierna, tj. importu nad eksportem, w sumie 3,100.000 koron, podczas gdy październik 1906 roku zamknięto nadwyżką czynną 35,900.000 koron. A zatem w październiku 1906 otrzymaliśmy od zagranicy za sprzedane jej nasze produkta o 35,900.000 koron więcej, niż sami zapłaciliśmy zagranicznym producentom za pobrane od nich towary, w październiku zaś roku bieżącego musieliśmy wydać o 3,100.000 koron więcej, niż sami otrzymaliśmy. Jest to objaw bardzo niepomyślny i gdyby ten stan miał odtąd stale powtarzać się co miesiąca, to w rezultacie musiałoby to doprowadzić do pogorszenia naszej waluty. Głównym powodem pogorszenia się naszego bilansu handlowego jest zmniejszenie się eksportu. Zboża wywieziono z Austryi za granicę w październiku br. wszystkiego za 15 milionów koron, podczas gdy w październiku 1906 wywieziono go za 29 milionów, zmniejszył się także eksport drzewa i cukru. Ten zarysowujący się zwrot konjunktur gospodarczych zasługuje na baczną uwagę, tembardziej, że i stosunki wielkiego przemysłu pogarszają się z każdym dniem. Podczas gdy do niedawna jeszcze zarządy fabryk czeskich skarżyły się na brak sił roboczych, to obecnie wiele fabryk nie jest w stanie zatrudniać personalu robotniczego przez cały tydzień i zawiesza ruch na jeden lub dwa dni w tygodniu, inne zaś fabryki oddalają część robotników.

Przy bardzo licznym udziale ekspertów z łona warstw inteligentnych, rozpoczęły się wczoraj w ministerstwie rolnictwa obrady ankiety drożyźnianej. Obradom przewodniczy w zastępstwie ministra rolnictwa szef sekcyi Zaleski. Na wczorajszem pierwszem posiedzeniu omawiano głównie kwestyę drożyzny mięsa, a rezultatem tej dyskusyi było, że prawie wszyscy uczestnicy ankiety domagali się, by w miejscowościach nadgranicznych urządzono rzeźnie celem bicia w nich wołów rumuńskich i rosyjskich i ażeby zezwolono na import mięsa z bydła zabijanego w tych rzeźniach nadgranicznych. Niektórzy eksperci przemawiali także za zezwoleniem na dowóz mięsa z Ameryki. Ogólnie także skarżono się na wyzyski rzeźników, którzy podnieśli ceny mięsa wtedy, gdy bydło było drogie, a teraz pomimo tego, że bydło tak nadzwyczajnie potaniało, nie myślą o przywróceniu dawnych cen mięsa. Reprezentant miasta Pragi, dr. Bastyr zaznaczył, że w Czechach drożyzna mięsa stosunkowo nie daje się tak odczuwać, jak w innych prowincyach raz dlatego, że produkcya krajowa bydła jest znaczna, a powtóre, że ogromne dowozy bydła z Galicyi są poniekąd regulatorem cen mięsa i nie pozwalają na zbytnie ich śrubowanie. Toteż w listopadzie musieli rzeźnicy w Pradze przedsięwziąć stosunkowo znaczną redukcyę cen mięsa. Niestety, mówca obawia się, że w przyszłym roku ceny bydła znów będą droższe, gdyż paszy jest mało. Dziś odbędzie się dalszy ciąg obrad ankiety.

Lekarze tutejsi zabierają się skrzętnie do zrealizowania bardzo doniosłego projektu urządzenia wielkiego sanatoryum. Myśl ta zrodziła się wśród lekarzy wiedeńskich pod wpływem wiadomości, że Namiestnictwo dolno-austryackie, zarządzające krajowym funduszem szpitalnym, zamierza przy tutejszym szpitalu powszechnym założyć osobny oddział, urządzony z wszelkim możliwym komfortem, a przeznaczony dla pacyentów zamożniejszych, którzy w dzisiejszych warunkach nie chcą w razie choroby szukać opieki szpitalnej. Na wiadomość o tym projekcie Namiestnictwa, podnieśli lekarze ogromną wrzawę, gdyż zdaniem ich powstanie takiego sanatoryum szpitalnego urządzonego z całym wyrafinowanym komfortem, zrujnowałoby wielu lekarzy, gdyż majętni pacyenci w razie choroby nie wzywaliby pomocy wolnopraktykujących lekarzy, lecz udawaliby się do tego sanatoryum. Jakoż grono przedsiębiorczych lekarzy podniosło wnet myśl zebrania w sferach lekarskich funduszów na wzniesienie sanatoryum, w któremby każdy lekarz mógł umieszczać swoich pacyentów i sam prowadzić ich kuracyę. Od udziałów swoich, włożonych w to przedsiębiorstwo, pobieraliby lekarze stosowną dywidendę. Myśl rzucona przyjęła się i do tej pory subskrybowało 150 lekarzy wiedeńskich udziały na sumę 750.000 koron.

Wczoraj odbyło się w tej sprawie wielkie zgromadzenie lekarzy, na którem omawiano obszernie szczegóły powstać mającej instytucyi. Dwaj architekci przedłożyli gotowe plany wybudować się mającego sanatoryum, które kosztować ma 1,750.000 koron. Przeważna część lekarzy oświadczyła się za tem, ażeby to był zakład obliczony na warstwy średnio zamożne i aby koszta utrzymania i pielęgnowania jednego chorego nie przenosiły 12 koron dziennie. Profesor Dr. Noorden następca Nothnagla, bardzo gorąco przemawiał za tem, aby ceny pobierane w tem sanatoryum były jak najtańsze, gdyż drogich sanatoryów ma Wiedeń podostatkiem, ale tanich mu brak. Z praktyki swojej w Frankfurcie, gdzie przez kilkanaście lat był lekarzem, wie prof. Noorden najlepiej, jak ogromną wziętością cieszą się tanie sanatorya. W sanatoryum frankfurckiem np. tanie łóżka po 6 marek dziennie były zawsze zajęte, podczas gdy droższe sale były przez większą część roku puste. W rezultacie uchwalono, że maksymalna cena w powstać mającem sanatoryum wynosić ma 12 koron dziennie. Niebawem odbędzie się w tej sprawie drugie walne zgromadzenie lekarzy.

Co i o czem piszą.

Znany, wielce utalentowany poeta, p. Zdzisław Dębicki zatrzymał się w podróży swojej po Finlandyi w Imatrze i piękności jej opisuje w warszawskiej *Gazecie codziennej* z prawdziwie poetyckim polotem. Im bliżej tego miasta tem krajobraz finlandzki zaczyna występować wyraźniej w całej swojej pełni i krasie: na prawo i na lewo szklą się olbrzymie tafle jezior oprawnych w zielone pierścienie lasów, jednak prawdziwie cudowna okolica zaczyna się dopiero od chwili przejazdu przez most na Wuoksie.

Dolina tej rzeki — opowiada p. Dębicki — należy do najpiękniejszych, jakie widziałem kiedykolwiek. Musi też posiadać ustaloną sławę i wśród Finlandczyków, skoro spotyka się tutaj dość częste wille, stawiane umiejętnie, z wyraźnym celem wyzyskania krajobrazu i otoczenia. Punktem najruchliwszym jest tutaj stacya *Antrea*, w której pobliżu najwięcej skupia się letnich siedzib.

Jest godzina 7 wieczór. Gasną ostatnie odblaski zorzy i zmrok powoli zapada. Nie mogę już patrzeć na dalszą część drogi, która wije się doliną, równolegle do skrętów rzeki. Pociąg tymczasem grzmi chwilami tuż nad ogromną masą wody, która przewala się poważnie w szerokiem swojem łożysku, odcinając się świetlistą tonią od czarnego obramienia brzegów. Przeczuwam, że w dzień muszą tu być widoki, których się nie zapomina. Z konieczności jednak rezygnuję z nich i cofam się od okna.

W przedziale pełno. Toczy się ożywiona rozmowa, z której ani jednego wyrazu nie rozumiem.

Wogóle — od Wyborga, jak uciął, ani słowa rosyjskiego, ani śladu jakichkolwiek stosunków z Petersburgiem.

Mam za sąsiada Finlandczyka, który poznał, że jestem obcym turystą, uchylił kapelusza i zapytuje o coś.

Odpowiadam mu po francusku, że nie znam pięknego języka jego ojczyzny.

Okazuje się, że mój współtowarzysz posiada tylko dwa języki krajowe: fiński i szwedzki. Po

16)

Maciej Łubieński.

ZŁOTA NIĆ.
POWIEŚĆ.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

Opowiadał więc o balach wiedeńskich u ministrów i arcyksiążąt, gdzie zbierało się częstokroć po dwa, trzy tysiące osób, o tem, jak na tych zebraniach nie górował bynajmniej język francuski, a przeciwnie, po za niemieckim, dotrzymywały mu towarzystwa wszystkie niemal języki i nietylko europejskie...

Opowiadał dalej, jak często obiadował i śniadał w prywatnych apartamentach przedstawicieli rodziny cesarskiej, jak często wobec niego odbywały się komiczne epizody z nowymi przybyszami, wywołane brakiem znajomości subtelnych odcieni dworskiej etykiety i wpadłszy na ulubiony temat, Tuhanowicz ożywił się sam stopniowo. Zapomniawszy już jakby zupełnie o Toli, zabawiać począł gospodarstwo pieprznemi historyjkami, osnutemi na epizodach z życia członków rodziny cesarskiej, o których mówiąc, pan Ludwik używał tylko *tout court* imion, traktując ich wszystkich, jako dobrych znajomych.

— Nie mają nawet państwo pojęcia — unosił się hrabia, zwracając się kolejno w stronę pana i pani domu, — co tam wre za życie, co za życie!... W tym tutaj barbarzyńskim kraju nikt nie wie może prócz pani — tu skłonił się w stronę pani Eufrozyny. Jak zaś w ogóle w Europie cenią dworskie stosunki, nie mogą mieć tu nawet najmniejszego wyobrażenia... Pamiętam raz w Rzymie... Było to późną jesienią. Z Wiednia kilka dni przedtem wyjechał do Włoch książę Emanuel di Santa Luce, osobistość bardzo znana w świecie kosmopolityczno-dworskim Europy. Otóż w Wiedniu, żegnając go przed wyjazdem, arcyksiążę Olgierd, u którego bywałem czas jakiś codziennym niemal gościem, rzekł mu: „Książę jedzie do Rzymu, wszak prawda?... Tam bawi właśnie kochany hrabia Ludwik Tuhanowicz, proszę mu się kłaniać odemnie!“ *Figurez vous* co mnie spotyka! Siedzę sobie spokojnie, paląc cygaro w gabinecie... Pogoda, pamiętam, była niżej krytyki, deszcz lał, jak z cebra. Nudziłem się szalenie... Gdy oto nagle mój kamerdyner — *vous savez*, ten sam Żorż, którego ze sobą zawsze wożę, wchodzi do pokoju, niosąc jakiś bilet na tacy i powiada: „Jakiś pan przyszedł z kolei piechotą.“ — „W taki deszcz roześmiałem się. — „No i cóż?“ — „Kazał oddać ten bilet!“ Spojrzałem, pamiętam, niedbale i skoczyłem z fotelu. Wyczytałem: Emanuel, książę di Santa Luce i szereg dworskich tytułów. Nie patrząc nawet na Żorża, oniemiały z przerażenia, myśląc, że coś ogromnie ważnego się stało, wybiegam pędem po schodach na ulicę. Widzę księcia, którego osobiście dotąd wcale jeszcze nie znałem — stojącego na deszczu, w płaszczu gumowym. Jestem Tuhanowicz—przedstawiam mu się pokornie. — Książę! Co za zaszczyt! Czem służyć mogę?.. — „Pan hrabia Tuhanowicz? Jakże mi miło! — odpowiada książę. — Chciałem panu tylko jedną rzecz powiedzieć i czułem się w obowiązku uczynić to natychmiast, chociażem z powodu strejku woźniców ani jednego powozu nie znalazł. Pan zna arcyksięcia Olgierda?“ — *Mais comment*, codzień u niego bywałem, — odpowiadem. A książę na to: „Arcyksiążę, gdym wyjeżdżał, kazał mi się uprzejmie kłaniać kochanemu hrabiemu... Czułem się w obowiązku spełnić jego życzenie. Do widzenia. Nie wejdę już do hrabiego, przepraszam, ale niezmiernie się śpieszę! — „I podreptał dalej, — kończył Tuhanowicz. — *Tableau*, nieprawdaż? — zwrócił się do pani Eufrozyny.

Ta, uśmiechając się czas cały, rada, iż gość już zapomina o poprzedniej rozmowie, poczęła unosić się nad dworskością księcia di Santa-Luce i wypytywać dalej o stosunki wiedeńskie.

Rozmowa potoczyła się dalej.

Obiad się kończył. Biesiadnicy przeszli do sąsiednich pokojów.

Lokaje dla odświeżenia powietrza w sali, otworzyli okna. Do wnętrza wpłynął powiew wieczoru i wtargnęło pożegnalne słońce... Zalśniło wśród parku całe purpurowe jezioro, które zdawało się wchłaniać w siebie kulę słoneczną.

Blaski rozpływały się po tafli wód, zapalały się krwawo kielichy wodnych, białych lilii, pląsały swawolnie po głębiach jeziora, niby w jakimś szalonym tańcu zawrotnym...

U brzegu poiły się stada wołów i koni, przez groblę pędziły i dudniły wozy. Wysoko ponad wodami krążyło ptactwo, a hen, daleko, przy początku rzeczułki, zamajaczyła łódka i rozległo się kilka strzałów...

Na końcu sioła, rozrzuconego kolisto ponad wodą, na wzgórzu, odezwał się przedświąteczny dzwon... Zapłakał rzewnie, odbił się w toniach wody i w echach parku.

Nagle czar prysnął... Cichy dźwięk dzwonu, płynący melodyjnie jakby z oddali, ze stepów, zagłuszony został burzą tonów.

To pani Eufrozyna popisywała się przed gościem banalną muzyką na fortepianie.

VI.

W eleganckiej karecie, która go razem z żoną unosiła lekko i szybko po przez gwarne ulice wielkiego miasta, Zygmunt Marbutt kręcił się nerwowo, spoglądając co chwila przez szyby.

Od paru godzin składał on z Irmą pierwsze powitalne wizyty, które kodeks światowy nakładał na nich, jako na przyjezdnych.

Objeżdżając kolejno liczną rodzinę żony, przyjaciół jej i znajomych, wszędzie przedstawiany, wszędzie prawie zgoła nieznany, Marbutt w duchu gniewał się za to zapędzanie go w jarzmo salonowych stosunków, których nie cierpiał, skrępowany bezwiednie wykwintną atmosferą wielkoświatowych salonów, duszących go płytkością i banalnością rozmów, jednostojnością ludzi, tak podobnie do siebie mówiących, a w oczach jego — bezmiernie nudnych.

— Kiedyż nareszcie dojedziemy do twoich stryjowstwa — rzucił niecierpliwie, — Te konie idą jak żółwie!...

— Oho! — uśmiechnęła się Irma.—Mój mąż i pan pogardzać już zaczyna ekwipażem z remizy...Jeżelibyś chciał koniecznie — dodała łagodnie, patrząc z miłością na męża — moglibyśmy pozwolić sobie na własny powóz i konie. Wiesz co, pomyślmy o tem od jutra...

— Ale co znowu? — obruszył się Marbutt, ujęty bezwiednie dobrocią żony, która rozbrajała go zwykle gotowością spełniania najmniejszego jego życzenia. — Nie chodziło mi bynajmniej o to, jakimi końmi jedziemy, lub jeździć będziemy, ale o to — dodał szczerze — by już raz skończyły się te wizyty!...

— Skończą się, bądź spokojny! — uśmiechnęła się Irma — już ostatnia!

— Chwała Bogu! — mruknął Marbutt i dorzucił znudzonym głosem:

— Irmuś moja, ty nie masz nawet pojęcia, jak ja się nudzę przez te dni ostatnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

rosyjsku mówi zaledwie parę słów, a nadto rozumie cośkolwiek po niemiecku.

Rozmawiamy więc po niemiecku. W rozmowie tej oświadczam mu przedewszystkiem, że jestem Polakiem.

Ledwie to wymówiłem, uczułem ciężką rękę na swojem ramieniu i usłyszałem z entuzyazmem wypowiedziany wyraz: Brat. Rozmowa potoczyła się odtąd wartko, a chociaż mój Finlandczyk łamał sobie niemiłosiernie język, posiłkując się mnóstwem niezrozumiałych dla mnie słów szwedzkich, potrafiliśmy jednak wyrazić sobie wzajemną sympatyę w imieniu naszych narodów.

Rozmawiamy na temat wypadków bieżących. Finlandczyk doskonale jest poinformowany o stosunkach rosyjskich, oryentuje się trafnie i wypowiada bardzo rozumne uwagi o niektórych partyach rosyjskich, zwłaszcza o demokratach konstytucyjnych, którym zarzuca, że w obu izbach wykazali zupełną *Regirungsunfähigkeit.* Jako syn narodu wolnego, podkreśla swoje współczucie dla ruchu wolnościowego w Rosyi, ale bardzo sceptycznie zapatruje się na sytuacyę obecną. Rewolucyę rosyjską pomawia o brak linii i o zupełną bezplanowość. Fundamenty nowego ustroju — mówi — założono na trzęsawisku, nie można się też dziwić, że zapadają one coraz głębiej i że na pewien czas mogą zupełnie zniknąć z powierzchni... Demokracyi — kończy — niema tam, gdzie niema woli ludu, a Rosya właśnie jest w tem opłakanem położeniu. Garść agitatorów nie zastąpi nigdy, ani nie wywoła świadomego aktu zbiorowej woli społeczeństwa. Trzeba naprzód to społeczeństwo zcementować wspólną ideą...

Tak myślą w Finlandyi.

Rozmowę naszą przerywa wejście konduktora, który oświadcza, że dojeżdżamy do Imatry. Towarzysz mój wysiada także na tej stacyi. Jedzie do przyjaciela na polowanie. Jest uprzejmy do ostatniej chwili. Na pożegnanie rzuca mi jeszcze kilka komplimentów pod adresem Polski, za co odpłacam mu głębokiem uznaniem dla Finlandyi. Rozstajemy się dopiero przy breku hotelowym, gdzie znajduję wygodne miejsce.

Portyer zatrzaskuje drzwiczki, wskakuje na stopień i — ruszamy.

Brek toczy się żwawo po dobrej, żwirowanej drodze wśród lasu. Noc. Niebo wyiskrzone od gwiazd. Cichy księżyc płynie powolj, topiąc ziemię w srebrnawej poświacie. Zdaleka słychać szum wody. To porohy Imatry... Szum wzmaga się z każdym obrotem kół, przechodząc zwolna w łoskot, podobny do tego, z jakim spada woda przez nagle podniesioną śluzę u młyna.

Chwila i wjeżdżamy na most, rzucony nad wodospadem. W świetle księżyca widzę masę wody rozśnieżonej w łożysku wązkiem i w oszalałym pędzie lecącej po kamieniach.

Brek tymczasem skręca w ulicę boczną i zatrzymuje się przed wspaniałym trzypiętrowym gmachem, który stoi tuż nad kaskadami, świecąc szeregiem okien, oświetlonych elektrycznością.

Jestem zdumiony. Nie spodziewałem się zastać w Imatrze takiego hotelu. Mógłby on stać w najbardziej uczęszczanej miejscowości, na jednym z wielkich traktów międzynarodowych Europy Zachodniej — w Szwajcaryi, na Rivierze, nad jeziorami włoskiemi i nigdzieby nie raził.

Podróżny znajduje tu wszystko — i pokój wygodny, urządzony z komfortem i stół wykwintny i służbę sprawną i wyćwiczoną doskonale.

Po hotelu petersburskim, który mnie stale drażnił rozmaitymi brakami, nagle znalazłem się w atmosferze miłej, ciepłej, jakby stworzonej do wypoczynku.

Z przyjemnością też przespałem noc na wygodnem łóżku, kołysany do snu grzmieniem wody, która o trzy piętra niżej grała swój odwieczny hymn na granitowej harfie łożyska Wuoksy.

To grzmienie obudziło mnie nazajutrz i wczesnym rankiem poprowadziło ku spienionej rzece.

Był dzień pogodny. Słońce świeciło jasno, a rzeźki chłód jesienny powoli łagodniał pod dobroczynnem działaniem ciepłych promieni. Brzegi Wuoksy płonęły od złota brzóz i zieleniły się lasem smukłych świerków i rozłożystych jodeł.

Przeszedłem przez most i z wysokiego nasypu po doskonałych schodach zstąpiłem na sam dół. Tu dopiero ukazała się Imatra w całej swojej krasie i w całej potędze rozszalałego żywiołu.

Ogromna masa wody, którą Wuoksa ma dzięki jeziorom i lasom nadbrzeżnym, napotkawszy na swojej drodze zaporę, stłoczyła się tu w ciasnem, zdobytem siłą i gwałtem łożysku, i poszła po głazach granitowych szukać sobie swobodniejszego ujścia o kilka kilometrów niżej.

W tygrysich skokach rzucają się spienione wały wodne na ogromne złomy kamienia i piętrząc się na nich, z łoskotem spadają, ażeby następnie znów wznieść swoją srebrną grzywę i nowym, szalonym rzutem zdobyć dalszą przeszkodę. Wśród piekielnego wrzątku i ryku odbywa się to „zdobywanie przeszkód“ na przestrzeni 150 sążni. Woda wśród tych dzikich pląsów zamienia się w śnieg i w opar, który kłębami unosi się nad powierzchnią i przyjemnym chłodem spada na twarz w odległości kilku jeszcze kroków od brzegu.

Jest coś piekielnego i zarazem coś niezmiernie porywającego w widoku tej wody, która tak zwycięzko mknie naprzód, ślizgając się rozhukanymi bałwanami po granitach i szlifując je w odwiecznem zmaganiu się z nimi. Zwycięzki, tryumfalny jej ryk ogłusza i rodzi w duszy jakąś dziwną pokorę wobec Natury, która takiemi rozporządza siłami i takie tworzy cuda.

Zadumane jodły stoją nad brzegiem cicho. Brzozy świecą jesienną pozłotą swoich liści, które bez szelestu osypują się wolno na ziemię. Ogromne zwały granitowe sterczą wśród lasu, a korzenie świerków obejmują je miłośnie, szukając dla siebie podłoża w wolnej, niezajętej przez kamień przestrzeni.

Spokój lasu i grzmot wody stanowią kontrast uderzający. Potęguje go jeszcze pogodne, jasne niebo, rozpięte nad tą burzą, nieznającą kresu. Od wieków odbywa się tu to samo i wieki trwać jeszcze będzie ta sama dzika muzyka wśród skał i lasów.

Tu Orfeusz północy, stary, mądry Weinemeinen, bohater *Kalewali*, najlepiej chyba mógł składać strofy swoich „wiecznych pieśni...“. Tu mogły tylko powstać cudowne baśnie i legendy fińskie, w których przyroda kraju odbiła się tak wyraźnie i pięknie, jak u żadnego ludu w Europie...

Nasyciwszy oczy widokiem Imatry, korzystam z czasu, jaki mi pozostaje i jadę do odległego o 6 kilometrów drugiego wodospadu *Wallinkoski.* Jest on mniejszy, ale równie piękny, a może nawet jeszcze piękniejszy.

Podczas gdy siłę spadku wody w Imatrze obliczają na 118.000 koni parowych, w Wallinkoski wynosi ona tylko 48.000. Woda rzuca się tu w jednym skoku z wysokości ośmiu metrów, a rozbijając się o kamienne dno, rozlewa się następnie szeroko, gotując się jeszcze i bełkocząc wirami na przestrzeni kilkunastu sążni, poczem uspokaja się i tworzy jakby szerokie jezioro, pokryte białozłotawą pianą.

Po tem „jeziorze“ można przejechać łódką, dotrzeć do wyspy, która jest pośrodku i stamtąd ogarnąć cały piękny krajobraz, który roztacza się w obie strony, w górę i w dół rzeki.

W Wallinkoski, w uroczem położeniu znajduje się kilka willi, a na skale, tuż nad wodospadem, wznosi się wygodna *glorietta.* Staję tam i jeszcze jednym rzutem oka obejmuję niebo, ziemię i wodę, a kiedy słucham jej grzmienia zdaje mi się, iż w uszach dźwięczy mi melodya pieśni fińskiej, znanej i u nas dzięki p. Bohdanowi Kutyłowskiemu:

Ojczysta ziemio, kraju drogi,
W twej chwale jasnej trwaj...

. . . .

Wśród granitowych twych wierzei
Tysiące jezior śni...
Ucieczko nasza w burz kolei,
Skarbnico wspomnień i nadziei
Kolebko szara naszych dni,
Niech pieśń twa głośno brzmi...

Spoglądam na zegarek. Czas nagli do powrotu. Mój woźnica fiński zacina konia.

Żegnaj wodo szumiąca, do widzenia Finlandyo! Do widzenia, bo jestem pewny, że mnie „pieśń twoja“ przyprowadzi tu jeszcze kiedykolwiek w życiu...

Rada państwa.

Wiedeń. W dalszym ciągu wczorajszego posiedzenia zabrał głos p. L u e g e r i oświadcza, że mowę jego na Zjeździe katolickim zupełnie przekręcono; twierdzenie zaś, że uniwersytety są ogniskiem rewolucyi, bezreligijności i wyzbycia się Ojczyzny, podtrzymuje w zupełności. P. Masaryk nie ma się czego obawiać, że partya chrześcijańsko-społeczna będzie mu przeszkadzała w badaniu niewinności Hülsnera. (Jest to pewien żyd, skazany w Czechach naprzód na śmierć, potem na dożywotnie więzienie za zamordowanie chrześcijańskiej dziewczyny. Antysemickie dzienniki utrzymywały wtedy, że było to morderstwo rytualne. *Przyp. Red. Przegl.*) Stronnictwo to żąda tylko równouprawnienia chrześcijan z żydami na uniwersytetach. Procent profesorów żydowskich na uniwersytetach jest niestosunkowo wysoki; uniwersytety, które niegdyś należały do narodu niemieckiego, powinny i nadal do niemieckiego należeć. (Oklaski posłów chrześcijańsko-społecznych). Chcemy uniwersytety wyswobodzić z pod panowania klik, które w zupełności mają w swych rękach nominacyę profesorów. Wreszcie chcemy zupełnego równouprawnienia wszystkich studentów niemieckich na uniwersytetach, mianowicie katoliccy słuchacze powinni być traktowani tak samo, jak inni słuchacze niemieccy. Trzeba się starać o pogodzenie wszystkich studentów niemieckich, gdyż inaczej naród niemiecki stanie się pośmiewiskiem wszystkich innych narodów, a przedewszystkiem żydów. A teraz potępiajcie mnie panowie — jeżeli wogóle jesteście w stanie to uczynić! (Żywe oklaski posłów chrześć.-społecznych).

P. P e r n e r s t o r f e r (socyalny-demokrata) stawia wniosek zniesienia wydziałów teologicznych i zmiany ich na instytucye prywatne, a poseł x. D r e x e l (członek stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego), aby poręczona swoboda nauki i wiedzy na uniwersytetach wolną była od wszelkiej agitacyi postępowej.

P. D r t i n a (czeski realista) oświadcza, że Lueger dziś wygłosił właściwie mowę pogrzebową dla antysemityzmu. Widocznie w chrześcijańsko społecznem stronnictwie dokonała się zmiana, stronnictwo to dzisiejszem swem głosowaniem stwierdziło, że także ono jest za swobodą nauki i wiedzy.

P. C z e l a k o w s k i (młodoczech) wystąpił przeciw uogólnaniu zarzutów przeciw uniwersytetom. Wolność naukowa wiedzy musi być zagwarantowana przez państwo. Mówca jednak zwraca się przeciw zmonopolizowaniu umiejętności przez jedną narodowość lub stronnictwo i przeciw pogwałceniu religii, przyczem wskazał na zajścia przeciw Niemcom na uniwersytetach w Wiedniu i Gracu. Oświadcza, że będzie głosował przeciw wnioskowi Pernerstorfera.

P. dr. W a l d n e r (niem. stron. lud.) protestuje uroczyście przeciw zamachom na niezawisłość uniwersytecką. Zwłaszcza w takiem różnojęzycznem państwie, jak Austrya, atak na uniwersytety może wywołać nieobliczalne konsekwencye. Wolność nauki nie może być naruszoną, ale z drugiej strony, uniwersytety nie mogą być polem walk partyjnych, ani własnością partyjną jednego stronnictwa.

P. x. D r e x e l (chrześcijańsko-socyal.) zaznaczył, że stronnictwo chrześcijańsko-społeczne jest stronnictwem politycznem, a nie wyznaniowem; występuje przeciw materyalizmowi, ale wobec jednostek trzyma się zasad najwyższej tolerancyi. Szkoła musi być prowadzona w duchu katolickim, gdyż religia i moralność są to dwie rzeczy, które rozdzielić się nie dadzą. Przechodząc do kwestyi żydowskiej, mówca dowodził, że żydzi i aryjczycy, to są dwie rasy, które nie dadzą się ze sobą pogodzić, dlatego trzeba się trzymać zdala od wpływów żydowskich. Omawiając stosunek Kościoła do nauki, mówca dowodził, że Kościół nie jest przeciwny postępowi, i że teologia zawdzięcza wiele postępowi nauk przyrodniczych. Prześladowanie studentów katolików na uniwersytetach musi się zwalczać i wszędzie musi zapanować tolerancya i uszanowanie wzajemnych zapatrywań. W końcu uzasadnia swój wniosek i oświadcza, że uniwersytety muszą być wyjęte z pod wpływów stronnictw politycznych, aby na nich zapanował spokój.

Dyskusyę zamknięto, a po przemowach mówców generalnych Bachmanna (niemiecko-postępowy) i X. Horskyego (członek czeskiego stronnictwa katolickiego), p. Masaryk w końcowym wywodzie sformułował swój wniosek jak następuje: Wzywa się rząd, by dał Izbie rękojmię przeciw wszelkim stronniczym atakom na uniwersytety, oraz by zagwarantowane w ustawach zasadniczych wolność nauki i wiedzy, wolność wyznania i sumienia, były chronione.

Nastąpiło 11 faktycznych sprostowań.

Między innymi p. S t r a u c h e r (adwokat z Czerniowiec, syonista) zwrócił się przeciw temu, żeby we wszystkich większych dyskusyach żydzi byli przedmiotem ataków i zarzutów. Mówca na podstawie twierdzenia *Deutsches Volksblattu* protestuje przeciw twierdzeniu dr. Luegera, który rzekł, że może znajdzie się krew wytoczona z niewinnej ofiary.

Prezydent kilkakrotnie przerywał mówcy oświadczając, że ma on prostować, a nie protestować przeciw twierdzeniom, podniesionym w ciągu dyskusyi.

Następnie p. L ö w e n s t e i n (adwokat ze Lwowa, członek Koła Polskiego) oświadczył, że zamierza sprostować dwie uwagi p. Luegera, chociaż właściwie należałoby prostować całą jego mowę, z wyjątkiem jednego zdania, tego mianowicie, w którem sam p. Lueger powiedział, że czyni mu się zbyt wielki zaszczyt, że się mowę jego obiera jako przedmiot wniosku nagłego. Mianowicie p. Lueger powiedział do p. Masaryka: „Może się znajdzie krew, wytoczona z niewinnej ofiary“.

Mówca nie chce nic nikomu insynuować gdyż sprzeciwia się to etyce, jeżeli jednakże w tych słowach mieści się aluzya do bajki o krwi na mace, to mówca musi tę aluzyę odeprzeć jako apel do najniższych instynktów i zabobonów.

P r e z y d e n t przerywa p. Löwensteinowi, wzywając go, by się ograniczył do sprostowania faktu, a gdy p. Löwenstein oświadczył, że prezydent po raz pierwszy stosuje taką taktykę w Izbie, odpowiedział prezydent Weiskirchner, że raz przecież musi przeszkodzić nadużywaniu sprostowań faktycznych.

P. L ö w e n s t e i n prostuje w końcu jako nieprawdziwe twierdzenie p. Luegera, że według prawa i sprawiedliwości liczba studentów żydowskich na uniwersytetach powinnaby spaść o 80%. Według prawa i sprawiedliwości nie ma w tej mierze granicy.

P. Adolf G r o s s (adwokat z Krakowa, członek niezawisłej partyi żydowskiej) prostuje oświadczenie x. Drexla, jakoby religia chrześcijańska przepisywała, iż nie należy obcować z żydami. Dalej prostuje, że na uniwersytecie w Insbruku jest zaledwie 2 żydów. Posłowie galicyjscy żyją z żydami w najlepszej harmonii, ponieważ znają żydów i umieją ich cenić. (Przerywania i wrzawa). Ci, którzy znają żydów, szanują ich, a ci, którzy ich nie znają, obrażają ich. Mówca spodziewa się, że takie sceny nie powtórzą się w Izbie. Gdyby się miały powtórzyć, to trzebaby powiedzieć, że tylko parlament azyatycki może na coś podobnego się zgodzić

Następnie przyjęto jednomyślnie wniosek o odesłanie wniosku p. Masaryka do komisyi konstytucyjnej.

Wniosek p. P e r n e r s t o r f e r a o wydzielenie wydziałów teologicznych z uniwersytetów, zniesienie seminaryów teologicznych i uznanie teologicznych zakładów naukowych za instytuty prywatne, odrzucono.

Na tem obrady przerwano.

Rada miasta Lwowa.

Lwów, 6. grudnia

(*Komisya dla artystycznego wyglądu miasta. — Kinematograf w Filharmonii. — Barbarzyństwo.— Opłaty od widowisk. — Nowe apteki we Lwowie*).

Na wstępie wczorajszego posiedzenia Rady miejskiej r. Chołodecki interpelował p. prezydenta w sprawie braków sanitarnych urządzeń w rakarni miejskiej, oraz nieprzestrzegania przez rzeźników przepisu nakazującego wożenie mięsa w krytych wozach. P. prezydent przyrzekł zająć się tą sprawą. — R. Soleski wskazał z kolei na to, że miejski urząd budowniczy zupełnie nie zważa na estetyczny wygląd miasta i dopuścił do zabudowania się miasta obrzydliwemi kamienicami w stylu czysto koszarowym. Mówca więc domaga się ustanowienia przy urzędzie budowniczym stałej komisyi artystycznej, złożonej z 7 członków, której zadaniem byłoby badać pod względem estetycznym wszystkie departamentowi budownicze mu do konsensu przedłożone plany. Sprawę tę przekazano na drogę regulaminową.

Następnie r. Wassung podniósł, iż sala Filharmonii z powodu tego, że ma tylko jedno wyjście na zewnątrz, konstrukcyę lóż drewnianą zupełnie spróchniałą i przestarzałe zepsute piece, grozi poważnem niebezpieczeństwem ognia, tem niebezpieczniejszego, że w gmachu skarbkowskim mieszka prawie 3000 ludzi i że w pobliżu znajduje się teatr miejski. W r. 1902 magistrat protestował nawet przeciw dawaniu w tej sali koncertów, a w r. 1903 stanowczo odmówił koncesyi na dawanie w tej sali przedstawień kinematograficznych właśnie z powodu niebezpieczeństwa ognia. Tymczasem w zeszłym roku jacyś zagraniczni wykpigrosze zdołali uzyskać koncesyę na dawanie w tej sali przedstawień kinematografu. To też wzburzenie opinii doszło do tego stopnia, że aż sam p. namiestnik po czterech tygodniach zakazał dalszych przedstawień. Obecnie ma się tam znów etablować jakieś zagraniczne przedsiębiorstwo, kryjące się za tutejszą spółkę. Wobec tego mówca zapytał p. prezydenta co uczyni, aby raz na zawsze zapobiedz nadużywaniu koncesyi wydanej dla tej sali tylko na koncerty, bale i rauty. Co zaś dotyczy owego przedsiębiorstwa kinematograficznego, to w sobotę ma komisya miejska orzec, czy może ono dawać przedstawienia. Jaki będzie wynik badań tej komisyi łatwo przewidzieć, jeżeli najistotniejsze funkcye w niej pełnić będzie delegat biura budowniczego, zaś współkoncesyonaryuszem owego przedsiębiorstwa jest inżynier tego właśnie biura. Wobec tego mówca zgłasza wniosek nagły o delegowanie do tej komisyi 3 członków Rady, mianowicie rr. Rawskiego, Dzieślewskiego i Dziwińskiego.

R. Rawski, który przez lat 7 był konserwatorem gmachu skarbkowskiego, stwierdza, że drewniana konstrukcya lóż w sali Filharmonii jest tak spróchniała, iż drzewo rozsypuje się pod naciskiem ręki. Oprócz więc niebezpieczeństwa ognia, istnieje także niebezpieczeństwo zawalenia się lóż.

Po zamknięciu dostępu do schodów prowadzących na III i dawny IV balkon tej sali, istnieje obecnie literalnie tylko jedno wyjście z niej, co potęguje obawę paniki. Również piece są zepsute w tej sali i nie przyczyniają się do jej bezpieczeństwa. Również gorąco wniosek r. Wassunga poparł r. Jonasz. Rada wniosek przyjęła i wybrała komisyę wedle propozycyi wnioskodawcy.

R. dr. Adam podniósł, iż w mieście krążą niesłychane wieści, jakoby przechowany w miejskiem muzeum przemysłowem karton Wyspiańskiego z projektem witrażów dla katedry... pokrajano na kawałeczki w barbarzyński sposób. Wiadomość ta wymaga bezzwłocznego wyjaśnienia. P. prezydent przyrzekł odpowiedzieć na tę interpelacyę na najbliższem posiedzeniu.

R. dr. Dwernicki uskarżał się, że stali bywalcy teatralni zdołali wyrobić sobie w kasie teatralnej takie przywileje, iż mają prawo z góry na wiele przedstawień zamawiać sobie najlepsze miejsca, z powodu czego publiczność musi na premierach zadowalać się miejscami gorszemi. P. prezydent przyrzekł tę sprawę zbadać.

Przystąpiono wreszcie do porządku dziennego. Z referatu r. Czarneckiego uchwalono pobierać opłaty od widowisk na rzecz ubogich i nadal, jak dotąd, od liczby sprzedanych biletów, a opłaty ryczałtowe dopuścić tylko w wyjątkowych wypadkach i nie dłużej, jak na rok.

Przystąpiono do wydania opinii, czy i ile potrzebnych jest we Lwowie nowych aptek. Magistrat, ulegając rozmaitym wpływom, oświadczył się za otwarciem tylko 2 nowych aptek. Referent jednak dr. Pisek, idąc za uchwałą sekcyi IV, proponuje oświadczyć się za otwarciem 4 nowych aptek, a to przy ulicy Bema, Zyblikiewicza, Zamarstynowskiej i górnej Łyczakowskiej. W dyskusyi r. Włodzimirski zwalczał podnoszony przez aptekarzy argument przeciw nowym aptekom, jakoby we Lwowie przypadała jedna apteka na zbyt szczupłą liczbę mieszkańców. Mówca wykazał, że we Lwowie przypada jedna apteka na 27.000 mieszkańców, podczas gdy w innych miastach stosunek ten jest znacznie mniejszy. Otwarcie nowych aptek zadowoli nietylko słuszne postulaty najstarszych prowizorów aptekarskich, ale przeciwdziałać będzie nadmiernemu rozwojowi droguery), których partactwo aptekarskie stało się już plagą. Zapisanych było jeszcze do głosu kilku mówców, zaś pora była spóźniona, więc uchwalono wybrać mówców generalnych. Okazało się jednak, że wszyscy zapisani do głosu są za wnioskami referenta. Wybrano więc tylko mówcę generalnego *pro* r. dra Mikołajskiego, który gorąco poparł wniosek referenta i wykazał, że otwarcie nowych aptek leży w interesie zdrowia miasta, a sprzeciwia się tylko osobistemu interesowi aptekarzy.

Rada oświadczyła się wedle wniosków referenta za otwarciem 4-ech nowych aptek we Lwowie.

Na tem tuż przed godziną 10 wieczorem zamknięto posiedzenie.

Z izby sądowej.

Monaco 2 grudnia.

(*Zamordowanie bogatej Szwedki*).

Przed trybunałem tutejszym rozpoczął się dzisiaj proces o morderstwo, dokonane w Montecarlo przed kilku miesiącami na bogatej wdowie Emmie Lewin, Szwedce rodem, przez małżonków Gooldów. Proces się toczy przed ławą przysięgłych, ale ława ta jest zupełnie inną, aniżeli u nas. Składa się ona mianowicie z dwóch sędziów zawodowych i czterech obywateli. Ci obywatele siadają po dwóch z każdej strony owych sędziów zawodowych, którzy siedzą pośrodku i prowadzą rozprawę. Niema tedy wcale owej ławy sędziów przysięgłych, ustawionych z boku, jak to bywa w Galicyi, lecz sędziowie przysięgli siedzą z przodu i patrzą wprost w twarz podsądnego. Widzą więc dobrze wszystkie zmiany, jakie się na tej twarzy rysują, podczas gdy w sądach galicyjskich nie widzą tych zmian wcale. Następnie to jest mądrem w urządzeniu tutejszych sądów przysięgłych, że nie odciągają one trzynastu, a nawet nieraz czternastu tak jak w Austryi obywateli od ich zajęć zawodowych, ale tylko czterech, a ta liczba jest najzupełniej dostateczną do osądzenia choćby największej zbrodni. Wreszcie i to jest jeszcze mądre w urządzeniu tutejszych sądów przysięgłych, że niema tak jak u nas w Austryi, iż sędziowie-obywatele mówią tylko „winien“ lub „nie“, a sędziowie koronni wymierzają karę, lecz tutaj sędziowie-obywatele razem z sędziami koronnymi obradują i uchwalają wymiar kary. Oskarżeni siedzą w klatkach, nie na zwykłej ławie.

Rozprawa rozpoczęła się od generaliów, jak zwykle. Aktu oskarżenia nie odczytywano wcale, ponieważ go oskarżonym doręczono na parę tygodni przedtem, więc go znają doskonale, a sędziom przysięgłym na dzień przedtem. Tym sposobem zaoszczędzono sobie kilka godzin nudnego czytania i przystąpiono odrazu do przesłuchiwania Wera Goolda. Jest to człowiek rudy, trochę już szpakowaty, nosi bródkę i wąsy, ubrany jest w czarny surdut i w biały krawat w czarne paski. Twarz jego nie robi złego wrażenia, chociaż i sympatycznym nie przedstawia się wcale. Ale dość jest rzucić wzrokiem na jego wielkie ręce, mające na każdym stawie ogromne węzły reumatyczne, aby nabrać pewnego wstrętu do niego. Jego żona Violetta Goold, siedząca w osobnej klatce, o parę kroków odsuniętej od jego klatki, jest osobą mającą 57 lat, ubrana jest w czarną suknię i w czarny kapelusz, twarz ma ukrytą pod gęstą czarną woalką.

Mąż rozpoczyna opowiadanie zbrodni: Więc w sobotę, dnia 3 sierpnia, żona jego zaprosiła p. Emmę Lewin na niedzielę popołudniu do siebie na herbatę. Pani Lewin przyszła i była jak zwykle bardzo strojnie ubrana. Na rękach, koło szyi, i w uszach miała mnóstwo brylantów, oprócz tego łańcuch złoty dokoło pasa, zegarek wysadzany perłami i mnóstwo breloków bardzo kosztownych. Gdy weszła, usadziliśmy ją w jadalnym pokoju, na niewielkiej sofce, plecami do drzwi wchodowych. Moja żona siadła koło niej i poczęła się zwykła rozmowa o plotkach towarzyskich. Piliśmy herbatę i słodkie wino. Po chwili ja wstałem, wyszedłem do drugiego pokoju, wziąłem tam tłuczek od moździerza i wróciwszy stanąłem z tyłu za panią Lewin i zadałem jej z całej siły trzy ciosy w głowę. Gęste jej włosy osłabiły siłę ciosów, tak, że ona zamiast paść nieżywą, zdołała się zerwać, podbiedz do okna, pchnąć je i krzyczeć na ulicę, wzywając pomocy. Wtedy moja żona chwyciła ją za ręce i odciągnęła od okna, mówiąc: „Nie róbże pani skandalu“, a ja podszedłem i dużym indyjskim puginałem zadałem jej cios w serce. Padła na ziemię i w tejże chwili skonała. Wówczas zawlekliśmy jej ciało do kuchni zmyliśmy plamy krwi w pokoju jadalnym i tam w kuchni rozebraliśmy zwłoki. Ja pozdejmowałem z niej wszystkie klejnoty, które oceniałem na kilkadziesiąt tysięcy franków, a że nie mogłem wynieść z domu ciała w całości, więc rozpiłowałem je w kawałki, złożyłem do kufra i oddałem na kolej, adresując pod fikcyjnem nazwiskiem do Paryża. Moja żona nie jest nic winna. Nie brała w niczem udziału na mnie cięży cała odpowiedzialność za tę zbrodnię i ja tylko winienem ponieść karę.

Zapytany jeszcze o poprzednie swoje życie, opowiada, że urodził się w Irlandyi, że pochodzi z rodziny baronów angielskich, że odziedziczył niewielką sumę po ojcu, jako syn młodszy, gdyż najstarszy otrzymał majorat; że skończył tylko trzy klasy w kollegium w Dublinie, a potem uprawiał sporty rozmaite i bawił się, aż przeputał cały spadek. Wtedy w anonsach jakiegoś londyńskiego dziennika przeczytał ogłoszenie, że młoda dama poszukuje męża, pojechał do Londynu, poznał ją, zakochał się i niebawem się z nią ożenił. Była to właśnie siedząca w drugiej klatce jego małżonka. Miała ona wtedy w Londynie magazyn mód, który szedł bardzo dobrze. Po kilku jednak latach zaczęło iść gorzej. Wtedy żona sprzedała ten magazyn, wynieśli się do Kanady i w Montreal założyła ona znowu magazyn. Poszło tak dobrze, że w kilka lat odłożyli ze sto tysięcy franków. Wtedy wrócili do Anglii i w Liverpoolu założyli pralnię parową, ale na niej stracili cały posiadany kapitał. Wówczas pojechali znowu do Montreal, lecz teraz już im się nie powodziło tak dobrze jak pierwszym razem, więc też skoro po latach kilkunastu dorobili się 50.000 fr., porzucili Amerykę i pojechali do Montecarlo, aby tu w grze próbować szczęścia.

Tu jednak przegrali całą posiadaną sumę i wtedy się zaczęły czasy strasznych wysiłków umysłowych, żeby przecież w jakikolwiek sposób zdobyć pieniądze na życie. Oszukiwali ludzi, jak mogli: to pożyczali od nich, to im sprzedawali niezawodne sposoby wygrania w ruletę... Właśnie w taki sposób poznali się z panią Lewin i ona zapłaciła im nawet sto franków za ten niezawodny sposób wygrania, ale przy jego pomocy nic nie wygrała. Nie gniewała się jednak na nich; owszem, utrzymywała nawet z nimi chętnie stosunki towarzyskie.

Rozpoczęło się przesłuchiwanie pani Violetty Goold. Liczy ona, jak już wspomnieliśmy, 57 lat. Urodziła się we Francyi, jako modniarka przeniosła się do Londynu i założyła tam sklep modniarski. Powodziło jej się świetnie. Kiedy już miała odłożonych kilkadziesiąt tysięcy koron, przeczytała w dziennikach anons, że młody człowiek, z dobrej szlacheckiej rodziny, pragnie się ożenić z majętną panną. Ponieważ zawsze czuła w sobie popęd do sfer dystyngowanych, przeto dla żartu, aby poznać tego szlachcica, napisała list pod wskazanym w anonsie adresem. Przybył niebawem jej teraźniejszy mąż, a że był zgrabnym, przystojnym, eleganckim, więc się jej podobał i wyszła za niego. Nie przypuszczała wtedy, że jest to człowiek bez żadnej wartości. Niebawem jednak smutne zrobiła doświadczenie. Okazało się bowiem, że jej mąż jest pijakiem i skończonym ladaco.

P r z e w o d n i c z ą c y: Czy zaniedbywał panią?

O s k a r ż o n a: Pan prezydent myśli, czy mnie nie kochał? Co to, to nie. Owszem, kochał mnie bardzo, tylko pił strasznie i hulał, tak, że wkrótce przehulał cały mój majątek. Gdyby nie on, byłabym dzisiaj bogatą kobietą, miałabym powozy i automobile i mogłabym kupić sobie na męża nie zwykłego baroneta, ale nawet księcia.

P r z e w o d n i c z ą c y: A co się tyczy zamordowania ś. p. Emmy Lewin?

O s k a r ż o n a: Ja w tem nie jestem wcale winną, to wszystko zrobił on, mój mąż. On mi kazał ją zaprosić na herbatę, a ja nie wiedziałam wcale, w jakim celu; on ją zamordował, a ja tyle tylko jestem winna, że zmyłam ślady krwi na podłodze. No, i w tem także, że nie doniosłam władzy o jego zbrodniczym czynie.

P r z e w o d n i c z ą c y: A czy to prawda, że kufer ze zwłokami stał w nogach łóżka pani przez całą noc i że pani spałaś w tym pokoju?

O s k a r ż o n a. Nic o tem nie wiem. Zresztą być może, że on tam postawił ten kufer, a ja tego nie spostrzegłam.

P r z e w o d n i c z ą c y. A czy to prawda, że pani zdzierałaś z trupa wszystkie klejnoty i przeszukiwałaś kieszenie, podczas gdy mąż pani drżał cały ze strachu i latał jak szalony po pokoju?

O s k a r ż o n a. Nie, nieprawda, ja się nie dotykałam zwłok, on tylko zdzierał klejnoty. Ja nawet potem nie chciałam się tych klejnotów dotykać.

P r z e w o d n i c z ą c y. Jednakże są świadkowie, którzy widzieli na pani niektóre z tych klejnotów.

O s k a r ż o n a. To tylko tak włożyłam, bo on mnie bardzo prosił.

P r z e w o d n i c z ą c y. A czy to prawda, że pani ukradła bransoletkę u pani Baecker?

O s k a r ż o n a: Wierutne kłamstwo. Siedziałam obok pani Baecker na ławeczce, a potem, gdy odeszła spostrzegłem na ziemi złotą bransoletkę z brylantami. Nie wiedziałam do kogo należy, więc pomyślałam sobie, że może to *fatum* podrzuca mi *porte bonheur.* Słyszałam, że często tak się zdarza na świecie, że bóstwa opiekujące się nami podrzucają nam coś, co jeżeli weźmiemy, to przynosić nam będzie szczęście. Więc wzięłam tę bransoletkę i nosiłam „dla szczęścia“.

P r z e w o d n i c z ą c y: Niedługo, bo tego samego dnia pojechała pani do Marsylii i sprzedała ją.

O s k a r ż o n a: A, to pan prezydent i to wie! No, to trudno, musiałam ją sprzedać, skoro potrzebowałam pieniędzy.

P r z e w o d n i c z ą c y. A dlaczegóż pani, będąc z wizytą u pani Baecker ukradła u niej z szufladki 300 franków?

O s k a r ż o n a: To pani Baecker kłamie bezczelnie.

P r z e w o d n i c z ą c y: Jednakże pani zapłaciła tego samego dnia panu Guizotowi te 300 franków.

O s k a r ż o n a: Czyż nie mogłam mieć innych pieniędzy, tylko musiałam kraść u pani Baecker?

P r z e w o d n i c z ą c y: Są jednak dowody na to. Rano tego samego dnia błagałaś pani pana Guizot, żeby nie wyrzucał was z pomieszkania za zaległy czynsz w kwocie 1.200 franków, a po wizycie u pani Baecker dałaś mu à conto 300 fr. i to właśnie w tych banknotach, które u p. Baecker zginęły.

O s k a r ż o n a: Można zawsze spiętrzyć dowody przeciw najniewinniejszym ludziom, jeżeli się chce ich potępić. Stanowczo oświadczam, że ani nic nie kradłam, ani w tem morderstwie udziału nie brałam. Wszystko to zrobił mój mąż, pijak i łajdak, a ja byłam tylko jego ofiarą.

Rozpoczyna się przesłuchiwanie świadków, przedewszystkiem lekarzy psychiatrów-doktorów: Dufour'a i Crasseta. Obaj oni stwierdzają zgodnie, że Wero Goold jest normalnym i poczytalnym, ale, że jest człowiekiem niesłychanie słabej woli. Wskutek tego ślepo ulega rozkazom żony, którą szalenie kocha i którą uważa za coś nieporównanie od siebie wyższego, tak, że patrzy na nią, jak na jakiś wyższy twór natury. Pod wpływem jej rozkazów jest w stanie bez żadnego wyrzutu sumienia, bez najmniejszego wstrętu i protestu popełnić jak największą zbrodnię.

Tyle co do niego. A co do niej, to na jej rękach, szyi i twarzy znaleźli ci lekarze jedenaście świeżych ran zadanych paznokciami. Stąd wnoszą, że nieprawdą jest twierdzenie Violetty Goold, iż ona nie brała udziału w morderstwie, lecz przeciwnie, że właśnie ona musiała być inicyatorką zbrodni i ona musiała ją przeprowadzić i ubezwładnić ofiarę. Zwłaszcza, że z rozwoju jej bicepsów (mięśni przedramienia) wnosić wolno, że jest ogromnie silną.

Na tem przerwano rozprawę.

* * *

Monaco, 5. grudnia. Sąd przysięgłych skazał Violettę Goold na śmierć, a jej męża na dożywotnie więzienie.

KRONIKA.

Lwów 6 grudnia.

Sejm galicyjski. Wedle doniesień z Wiednia, sesya Sejmu galicyjskiego już się w bieżącej kadencyi nie zbierze.

Pogłoski o dymisyi ministra skarbu W parlamencie wiedeńskim obiegały wczoraj pogłoski, że minister skarbu dr. Korytowski zagroził swą dymisyą jeżeli parlament zechce pójść dalej w obniżaniu podatku od cukru niż to on może uczynić, ze względu na bezpieczeństwo budżetowe państwa. Groźba ta, jak się zdaje, poskutkowała, bo już dzisiaj donoszą, że stronnictwa porozumiały się co do sprawy cukrowej i nie będą robiły rządowi trudności.

Dar. Cesarz udzielił ze swych prywatnych funduszów po 200 kor. zapomogi na budowę rzymsko-katolickich kaplic w Wojsławicach w pow. sokalskim i w Tuczempach w pow. jarosławskim.

P. Aleksander Bandrowski, znakomity przedstawiciel ról wagnerowskich, zerwał kontrakt z operą warszawską i opuścił syreni gród. Złożyły się na to, jak donoszą nam z Warszawy, dwa powody: jeden ten, że p. Aleksander Rajchman, dyrektor Opery warszawskiej, jest człowiekiem niesłychanie mało wykształconym w rzeczach muzycznych i niema najmniejszego pojęcia, jak operę prowadzić. Jego najświetniejsze pomysły obracają się naprzykład w kategoryi takich propozycyj, jak ta, którą zrobił Toselli'emu, aby jego żona, dawna następczyni tronu saskiego, siedziała na estradzie obok fortepianu podczas jego koncertu. A drugi powód zerwania kontraktu jest ten, że publiczność warszawska, jak się okazało, jest za mało muzykalnie wyrobioną, aby módz słuchać Wagnera. Na pierwszem przedstawieniu „Walkiryi" opera była pełna; na drugiem — puściuteńka. Tak samo pusty był teatr na „Siegfriedzie", a recenzenci napisali, że to są tak nudne opery, iż na nich do końca wysiedzieć niepodobna i że o wiele jest przyjemniejszy „Trubadur" i „Traviata". I w rzeczy samej, publiczność warszawska, karmiona przez tyle lat tylko operą włoską, przez Włochów śpiewaną, zaledwie z trudem i wysiłkiem umysłowym ocenia Francuzów takich jak Massenet, nie znosi Francuzów takich jak Charpentier (jego przecudna „Luisa" upadła odrazu w Warszawie), a na wyżyny wagnerowskie wznieść się wcale nie może. Jeszcze najpierwsze opery Wagnera, jak: „Lohengrin", „Tułacz holenderski" i „Tannhäuser" — może zrozumieć szeroka warszawska publiczność, ale „Pierścienia Nibelungów" absolutnie już zrozumieć nie jest w stanie.

Zamiatanie miasta. Od p. Aleksandra Barwińskiego otrzymujemy zażalenie, iż pomimo, że donieśliśmy, iż miasto będzie zamiatane w nocy, we wtorek, pomimo, że to był dzień pogodny, słoneczny i tłumy ludzi wyszły na spacer, pachołkowie miejscy zamiatali ulice: Kurkową, Lubelską i Teatyńską w samo południe i tworzyli taki kurz, że nie można było dostać się na Wysoki Zamek, aby użyć przechadzki.

Do tego słusznego zażalenia Szanownego Posła dodać musimy uwagę, że owo nocne zamiatanie Lwowa rozpocznie się dopiero wtedy, gdy Rada miejska uchwali na nie odpowiednie fundusze. Ale niech ta skarga posłuży p. prezydentowi miasta za argument wobec Rady miejskiej.

Napad chłopów pa dwór. Z Wenecyi nam donoszą, że w całych Włoszech ogromne, a nader przykre wrażenie wywołał fakt następujący: W miejscowości Sant'Andrea znajdują się dobra hr. Persico. Składają się one z pól rolnych, wydzierżawianych farmerom i z pałacu, otoczonego dużym, pięknym parkanem, pełnym prześlicznych, rzeźbionych statuy marmurowych i roślin egzotycznych. Niedawno dobra te nabył kupiec wenecki p. Antoni Frowa i przekonał się, że gospodarka zarządów hr. Persico była fatalna. Orne pola były wydzierżawiane chłopom za bezcen, podobnież i łąki, a to dlatego, że nie były zdrenowane, ani zmeliorowane. Zajął się więc przedewszyskiem zdrenowaniem pól i łąk, i włożył w to spory kapitał, odpowiednio więc podwyższył czynsza chłopom.

Na to chłopi w sobotę w nocy zmówiwszy się, napadli na jego pałac o godzinie 1-szej, wtedy, gdy wszyscy w domu spali. Kilkudziesięciu chłopów, przebranych za kobiety, żeby ich trudniej było poznać, rozwaliło część muru otaczającego park i wszedłszy do ogrodu, poczęło niszczyć rzeźby i podpalać budynki. Zbudzeni hałasem ze snu p. Frowa, jego syn i jego domownicy, wybiegli do chłopów i zaczęli im przedkładać i tłómaczyć, że tym sposobem szkodzą sami sobie. Na to chłopi rzucili się ich bić. Wtedy oni uciekli, zatarasowali się w pałacu i zagrozili chłopom, że będą do nich strzelać, jeżeli się zbliżą do pałacu, a jeden ze służby p. Frowy wymknął się niespostrzeżenie przez tylną furtkę, siadł na rower i popędził do Conegliano, żeby dać znać żandarmeryi. W tejże chwili kilkunastu konnych żandarmów i tren pożarny z sikawkami udał się do Sant' Andre'a i przybył tam o godzinie 4-ej rano. Na widok żandarmów chłopi się rozbiegli, zdołano jednak kilkunastu otoczyć i związać sznurumi. W niedzielę dalsze przedsięwzięto aresztowania i w poniedziałek 60 chłopów skutych w kajdany odstawiono do więzienia. P. Frowa oblicza swoje straty na 150.000 lir, które chłopi będą musieli zapłacić.

Śledztwo wykazało, że to agitatorzy socyalistyczni z Wenecyi podburzyli tych chłopów.

Przywłaszczenie sobie cudzego listu pieniężnego. Krawiec z Mostów Wielkich, niejaki Mojżesz Richter, wyjechał przed laty do Ameryki, a w maju roku bieżącego postanowił wrócić do kraju. Na samem wyjezdnem z Ameryki otrzymał on był list pieniężny z kwotą 1200 koron. Nie chcąc go wieźć z sobą aby mu kto w drodze nie ukradł, złożył go w jednym z banków nowojorskich i polecił wysłać go pod swoim adresem do Mostów Wielkich. Ponieważ urząd pocztowy nic o istnieniu w Mostach Wielkich krawca Mojżesza Richtera nie wiedział, a natomiast znał doskonale szynkarza tamtejszego tego samego imienia i nazwiska, przeto jego wezwał po odbiór listu, on zaś ani chwili nie zawahał się, tylko list, jako rzekomo spodziewany przyjął. Dopiero w kilka tygodni później, gdy krawiec Richter począł urgować urząd pocztowy, rzecz się wyjaśniła. Aresztowany szynkarz tłumaczył się, że spodziewał się pieniędzy od dziadka z Jerozolimy. Ponieważ jednak Jerozolima nie leży w Ameryce, a list pieniężny był z Ameryki, przeto szynkarza Richtera postawiono przed sądem pod zarzutem oszustwa.

Proces o dwa miliardy koron. W miasteczku Starodubiu na Wołyniu odbył się tymi dniami zjazd potomków niejakiego Połuboktowa, który był gubernatorem gubernii charkowskiej w 1722 roku i wtedy złożył w Banku angielskim kilka tysięcy rubli na procent. Od tego czasu nikt z jego potomków nie zgłaszał się po te pieniądze do Banku angielskiego w Londynie. Teraz jakiś adwokat przerzucając papiery, należące do jednego z potomków owego Połuboktowa znalazł pokwitowanie banku. Udał się więc do innych członków tej rodziny, okazało się, że należy do niej 40 rodzin, wszystkie zwołał na zjazd do Starodubia, tam otrzymał od nich pełnomocnictwo i bankowi zagroził procesem o dwa miliardy koron.

Skład materyałów rewolucyjnych w Berlinie, przygotowanych do transportu do Rosyi, okazał się po bliższem zbadaniu nietylko fabryką bomb, ale i fałszywych banknotów rosyjskich. Mianowicie znaleziono maszynki do wyrobu trzyrublówek. Było już przygotowanych 19.000 arkuszy, z których każdy zawierał ze trzydzieści banknotów. Słowem razem było już na ukończeniu 570.000 rubli. Jeszcze kilka dni, a byłyby te banknoty gotowe i w ruch puszczone. Skompromitowana przytem została wysoce redakcya socyalistycznego dziennika *Vorwärts*. Śledztwo bowiem przeprowadzone przez policyę berlińską wykryło, że niejaki Gunsel, kasyer *Vorvärtsu*, obstalował był w papierni papier ten, na którym owe banknoty potem fabrykowano. Gunsel czmychnął z Berlina, skoro tylko dowiedział się, że policya dostała się do domu owego socyalisty Hersena.

Temperatura dnia 4 grudnia o godz. 7-ej rano wynosiła: w Galicyi zachodniej —3, we Lwowie —4, w Tarnopolu — 9, w Czerniowcach — 8, w Wiedniu + 1, w Salcburgu + 3, w Gracu —1, w Pradze 0, w Tryeście + 7, w Abbazyi + 11, w Raguzie + 14, w Budapeszcie + 2, w Berlinie + 1, w Hamburgu + 5, w Monachium + 3 w Zurychu + 2, w Genewie + 2, w Lugano + 9, w Anglii + 3, w Paryżu + 2, w Biarritz + 10, w Nizzy + 8, w północnych Włoszech 6, we Florencyi + 9, w Rzymie + 12, w Neapolu + 10, w Palermo + 14, w Madrycie + 12, w Sztokholmie + 3, w Petersburgu —1, w Wilnie—2, w Warszawie —2, w Moskwie — 9, w Kijowie — 3, w Odessie + 1, w Serajewie + 3, w Belgradzie + 1, w Bukareszcie — 1, w Sofii —1, w Konstantynopolu + 8, w Atenach + 16. (Temperatura według Celsiusza).

Stan powietrza. T. o godz. 7 rano + 1 R. w poł. + 4 R. Bar. 763. Spada. Pochmurno.

W biurze stręczenia małżeństw.

Właścicielka. Proszę, tu jest album z fotografiami, tylko proszę porządku układu nie zepsuć.

Klient. Czy są ułożone alfabetycznie?

Właścicielka. Nie, wedle posagu.

Widowiska i koncerty.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś: „Szkoła" Kaweckiego.— W sobotę popołudniu „Wicek i Wacek," komedya Z. Przybylskiego. W sobotę wieczór „Żydówka", opera Halevyego, występ Wandy Otto i p. Giacomo Rawnera. — W niedzielę popołudniu „Cyrano de Bergerac" Rostanda. — W niedzielę wieczór „Wesoła wdówka". — W poniedziałek po raz pierwszy „Cenzor moralności", komedya w 3 aktach Ignacego Nikorowicza. — We wtorek „Trubadur", opera Verdi'ego, występ Wandy Otto i Giacomo Rawnera. — We środę „Cenzor moralności." — We czwartek „Carmen," opera Bizeta. Występ Bel Sorel i Aug. Dianni.

„The Empire Vio" dzisiaj i codziennie przedstawienie kinematograficzne o godz. 7½ w sali Belle-Vue przy ul. Karola Ludwika.

Repertuar teatru miejskiego w Krakowie. Dziś: „Królowa Tatr"; w sobotę „Lelewel" St. Wyspiańskiego; w niedzielę popołudniu „Obrona Częstochowy". wieczorem „Bolesław Śmiały," dramat w 3 aktach St. Wyspiańskiego; w poniedziałek „Wyzwolenie" St Wyspiańskiego.

Colosseum Hermanów od 1 do 15 grudnia. Miss Gertrudy „Cudowna grota," wspaniała baśń fantastyczna, z przepyszną wystawą i efektami świetlnymi. — The 3 Brooklyns, najznakomitsi muzykalni ekscentrycy. — La belle Milly, znakomita subretka i tancerka. — „Przeciwny skutek," farsa w 1 akcie R. Krenna. — „Rozbójnicy morscy," najpiękniejszy i najnowszy obraz Vitographu i serya mówiących fotografii. — 10 wspaniałych atrakcyj. W niedziele i święta dwa przedstawienia: o godz. 4-tej i 8-mej.

„Excelsior," kinoteatr w Filharmonii. Na wzór tego rodzaju teatrów angielskich i francuskich, rozpoczyna przedsiębiorstwo krajowe przedstawienia nader zajmujące w sali Filharmonii. Program przedstawień obejmuje widowiska historyczne, rodzajowe i dramatyczne, dalej cuda przyrody, nowoczesnej techniki, przemysłu, sensacyjne wypadki współczesne w żywych obrazach. Nie brak i wesołości dla widza komika, humor, iluzye, czarodziejskie efekty, tańce mają również miejsce w doborowym programie. Oprócz wieczornych i popołudniowych przedstawień (w soboty i niedziele), mają być i przedstawienia na wzór „Uranii" co środy z odpowiednio dobranym programem dla młodzieży szkolnej. Ceny, jak na wygodne miejsca w pysznej sali w Filharmonii, nader niskie, umożliwiają i najmniej zamożnym pogodne, zajmujące, pouczające i rozweselające spędzenie wieczoru. Nie wątpimy, że publiczność lwowska poprze te wszechmiar uznania godne usiłowania przedsiębiorstwa, którego cele są nietylko spekulatywne, ale i humanitarno-oświatowe.

Literatura i sztuka.

* **Adolf Nowaczyński.** *„Bóg wojny"*. Epizod napoleoński. Kraków. Nakład księgarni Gebethnera i Spółki. Stronic 142.

Jeżeli potrzeba byłoby dowodu na to, że papier jest bezbrzeżnie cierpliwy, to książka niniejsza uczyniłaby temu zadość. Bo proszę sobie wyobrazić coś w rodzaju jednoaktówki, w której Napoleon upija się do tego stopnia, że bredzi jak na mękach, przed Stanisławem Potockim wypowiada swoje ukryte myśli o Polakach — myśli oczywiście ubliżające nam w najwyższym stopniu — umizga się do młodej dzieweczki, ślicznej i dowcipnej Rozalki Dietrichównej, wielkiej patryotki polskiej, a córki jakiegoś mieszczanina warszawskiego i siostry żony jednego z warszawskich oberżystów, panny ogromnie wykształconej, czytającej dzienniki angielskie i na podstawie tych dzienników wypowiadającej Napoleonowi takie o nim zdanie, jakie dopiero wyrobili sobie polscy historycy dzisiejsi o tym cesarzu Francuzów, opierając się na całym naukowym materyale, zebranym już do tej pory, więc na wszystkich ogłoszonych aktach i dokumentach, listach, pamiętnikach etc. Ta ośmnastoletnia panienka wszystko to już wtedy wiedziała, jakkolwiek najlepsi i najpierwsi ówcześni polscy mężowie stanu o tem nie wiedzieli i na Napoleona patrzyli, jak na człowieka genialnego i wielkiego, a zarazem, jako na prawdziwego przyjaciela Polaków, mającego na myśli odbudowanie im ich ojczyzny.

Rzecz dzieje się w Warszawie. Napoleon z Caulaincourtem i swoim mamelukiem Rustanem przyjechał z Moskwy i pędzi dalej do Paryża. Usiłuje oczywiście przelecieć jak najprędzej przez Europę do Paryża, zanim się rozejdzie wiadomość o jego klęsce i o rozbiciu zupełnem jego armii. Grozi mu bowiem niebezpieczeństwo, że go poprostu tu lub ówdzie każą uwięzić i jako awanturnika rozstrzelać. Więc ucieka możliwie jak najszybciej. Przyjechał tedy do Warszawy zatrzymawszy się na parę godzin, tyle, żeby coś zjeść i ogrzać się przy komiuku, bo mróz sięga aż —18° R. i pędzić dalej. Zajechał do oberży przy ulicy Wierzbowej, będącej własnością niejakiego pana Gąsiorkowskiego. Zjawił się tam pod nazwiskiem marszałka Caulaincourta księcia Vicenzy, a prawdziwy marszałek Caulaincourt jest niby jego podwładnym, adjutantem, czy też marszałkiem dworu. Oberżysta poszedł obiad gotować, parobek Bartek przyniósł drzewa do pieca, a że drzewo jest mokre i nie udaje mu się zapalić przeto panna Rozalka zajmuje się tą czynnością zapala w piecu i przez ten czas z Napoleonem rozmawia. W końcu podają obiad, Potocki dostarcza kilka butelek doskonałego burgunda. Napoleon zaczyna pić, jeść, upija się i zaczyna bredzić.

W tem bredzeniu jego jest przecież jeden moment ogromnie charakterystyczny dla samego p. Nowaczyńskiego. Napoleon, jako człowiek wojskowy, opierający wszystko na taktyce i strategii, miał — rzecz prosta — w zupełnej pogardzie kozaków rosyjskich. Dla każdego, który skończył jakąś szkołę wojskową i zna się na sprawach militarnych, kozacy rosyjscy nie przedstawiają żadnej wojskowej wartości. Jest to horda zbójecka, dobra do napadu na jakąś wieś bezbronną, do rozpędzenia tłumu ulicznego, do splądrowania jakiegoś folwarku, wymordowania kobiet, dzieci i starców — słowem do dopięcia jakichś celów azyatyckich, odpowiednich dla tej bandy dzikich azyatów. Ale skoro tylko występuje na pole armia regularna: artylerya, piechota i kawalerya, to kozacy natychmiast uciekają za dziesiątą górę i za dziesiątą rzekę, gdyż stawić im czoła nie mogą. Ani ich uzbrojenie nie jest odpowiednie do walki z regularnem wojskiem, ani w tym stopniu manewrować nie umieją, ani nawet ich odwaga nie stoi na tej wysokości. Mają oni niezawodnie bardzo dużo brawury wobec bezbronnego tłumu, zwłaszcza z kobiet i dzieci złożonego, ale spotkać się z oddziałem żołnierzy regularnych nigdy kozactwo się nie poważy. Strach, jaki ono ma przed wojskiem regularnem, równa się w zupełności tej pogardzie, jaką wojsko regularne ma znowu dla kozactwa.

P. Nowaczyński wojskowym nie jest zapewne i musiał wcale nie studyować ksiąg wojskowych, ma jednak ten zabobonny strach przed kozactwem, jaki ma przed niem cała cywilna, bezbronna ludność Warszawy. Widywał więc zapewne nieraz te dzikie straszne tygrysy, gdzieś z nad granic Azyi sprowadzone, ubrane w olbrzymie papachy futrzane na głowach i uganiające z nahajkami po ulicach Warszawy. Więc wyobraził sobie, że to jest potęga militarna niesłychana, a stąd wpakował Napoleonowi kilkanaście idyotycznych tyrad na cześć i chwałę kozactwa. P. Nowaczyński mniema, że gdyby armia francuska miała pod Berezyną, pod Smoleńskiem i w Moskwie kilka tysięcy kozaków z sobą, to pomimo mrozów, braku żywności, zatargów i rywalizacyi między dowódzcami, zniechęcenia szalonego żołnierzy, braku furażu i amunicyi, nie poniosłaby porażki i pokonałaby Rosyę. Tak sobie wyobraził p. Nowaczyński. A że w dzisiejszych czasach literaci z pod znaku *moderne* ani nie zaglądają do książek, ani się nie radzą przyjaciół, ani się nie pytają o zdanie ludzi fachowych, tylko piszą co im na myśl przyjdzie, a napisawszy natychmniast drukują, przeto p. Nowaczyński, wyobraziwszy sobie, że Napoleon musiał żałować, iż nie ma kozaków, każe mu prawić tyrady na ten temat i poleca Potockiemu, aby coprędzej sformował z chłopów kozackie zastępy, gdyż jak on wróci latem w 1813 roku, żeby dalej prowadzić wojnę z Rosyą, zwycięży ją, mając te same co i Rosya pułki kozackie.

Przedstawić Napoleona pijanego i prawiącego bezbrzeżne idyotyzmy militarne, przedstawić dziewczynę mieszczańską z owego czasu wykształconą tak w polityce, jak p. Nowaczyński w sto lat później i prawiącą te zarzuty Napoleonowi, jakie mu w sto lat później prawili historycy polscy i wszystkiego tego nie okupić zgoła niczem, bo ani stylem, ani energią wyrażeń, ani błyskotliwością dyalogu, ani jakimś humorem niezwykłym — to zaprawdę jest korzystanie z cierpliwości papieru.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 4. grudnia.

(Z). Tylko w pierwszem stadyum obrotów dzisiejszych utrzymała się przyjazna tendencya, osłabła zaś znacznie około południa, gdy nadeszły doniesienia z giełd zagranicznych. Brzmiały one bowiem dosyć niepomyślnie. W Londynie, gdzie wczoraj jeszcze na pewno liczono, iż bank angielski zniży swą stopę procentową, nadzieja ta dziś rozwiała się, a eskont prywatny znów podrożał.

Spodziewano się w londyńskich sferach finansowych, że orędzie, którem prezydent Roosevelt otworzy nową sesyę kongresu waszyngtońskiego, zawierać będzie dokładnie nakreślony plan, jakiego rząd Stanów Zjednoczonych trzymać się będzie celem uzdrowienia stosunków na targu pieniężnym, tymczasem orędzie to nie zawiera najmniejszej wzmianki w tym przedmiocie, co wywołuje ogólne rozczarowanie.

W Berlinie podniósł się eskont prywatny na 7%, a fabryki żelaza uznały za stosowne po raz drugi w krótkim przeciągu czasu obniżyć ceny swych wyrobów.

Na tutejszym targu jedynie akcye bankowe utrzymały się przy ostatnich notowaniach, lub nawet uzyskały drobne zwyżki, zresztą zaś był spadek na całej linii. Akcye Staatsbahnu spadły dotkliwie na wiadomość, że rząd wystosował do zarządu tej kolei znów reskrypt, nakazujący mu przedsięwziąć nowe inwestycye kosztem 20 milionów koron.

Po trzytygodniowej przerwie, podjęto wczoraj na nowo rokowanie z delegatami Serbii w sprawie zawarcia traktatu handlowego. Najważniejszej kwestyi zezwolenia na import mięsa z bydła serbskiego nie poruszano jeszcze wcale.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Berlin. Na wczorajszem posiedzeniu parlamentu niemieckiego odbyła się manifestacya świadcząca, że stronnictwa należące do tak zwanego bloku rządowego, podały sobie i rządowi ręce do zgody. Każdy z przywódzców tych stronnictw składał po kolei oświadczenie, że będą rząd popierały. A wtedy poseł Groeber z centrum ironicznie zauważył, że skoro Jaś pocałował już Małgosię, to nam nie postaje nic innego, jak nie przeszkadzać im w miłosnych afektach. (Burzliwe oklaski na ławach centrum i socyalistów, okrzyki i aluzye do niedawnego procesu Moltke-Harden).

(Depesze popołudniowe)

Kraków. Rada nadzorcza Tow. Wzaj. Ubezpieczeń pod przewodnictwem prezesa Męcińskiego rozpoczęła obrady i przyjęła do wiadomości rezygnacyę zastępcy drugiego dyrektora dr. Szarskiego, wniesioną z powodu wyboru jego na pierwszego wiceprezydenta miasta. Dalej pożegnano ustępującego komisarza rządowego starostę Władysława Kowalikowskiego. W miejsce jego mianowany został komisarzem rządowym p. Władysław Mięsowicz.

Z powodu doniesień o napływie robotników do Bogumina i zajściach na tamtejszym dworcu, wyjechał tam dziś wysłany przez prezydyum miasta naczelnik krakowskiego urzędu pośrednictwa pracy p. Kumaniecki.

Aresztowano Annę Płatkównę, byłą pokojówkę hrabiny Wodzickiej w Olejowie. Znaleziono u niej 17 sztuk obligacyi banku hipotecznego i biżuteryę. Tłumaczy się ona, że przedmioty te znajdywała w pokoju hrabiny.

Warszawa. Jakiś człowiek strzelił z rewolweru do przechodzącego zecera Krawczyńskiego. Krawczyński padł z przestrzeloną szyją. Morderca zbiegł.

Łódź. Na szosie między Konstantynowem a Łodzią napadnięto na poborcę monopolowego Biegunа, idącego w towarzystwie kontrolera i dwóch kozaków. Bandyci poczęli strzelać. Jedna z kul trafiła poborcę w usta. Strzały kozaków zmusiły napastników do ucieczki.

Zamość. Wydział sądu okręgowego lubelskiego zasądził X. proboszcza Zbiecia za danie ślubu dwom 18-letnim byłym unitkom, dziś katoliczkom, pomimo udowodnienia ich pełnoletności, na 100 rubli grzywny, lub miesiąc aresztu i usunięcie z posady na 3 miesiące. X. Ziembickiego, oskarżonego z powodu ochrzczenia dziecka ojca prawosławnego i matki katoliczki, uwolniono od kary, natomiast skazano ojca dziecka na 2 tygodnie twierdzy.

Petersburg. Przyjmując delegacyę byłych studentów uniwersytetu warszawskiego, Rodiczew oświadczył, iż wyraził w swej mowie pragnienie, ażeby w Warszawie utworzono uniwersytet polski nie ze względu na specyalną sympatyę dla Polaków, lecz ze stanowiska patryoty rosyjskiego, który nie może znieść ucisku w stosunku do innych narodów, zwłaszcza tak kulturalnego, jak Polacy. Naród polski powinien mieć bezwarunkowo swój własny uniwersytet w granicach państwa rosyjskiego.

Petersburg. Zarządzający wydziałem rolnictwa ks. Wasilczykow porozumiewa się z ministrem oświaty Kaufmanem w sprawie rozkolonizowania przez włościan rosyjskich gruntów należących do instytutu agronomicznego w Puławach.

Elizawetgrad. Pod przewodnictwem gubernatora odbyła się narada obywateli ziemskich i radnych ziemstwa celem obmyślenia środków walki z bandytyzmem. Uchwalono, aby ziemstwo powiatowe asygnowało 150.000 rubli na utworzenie ruchomej policyi śledczej.

Rada państwa.

Wiedeń. Na dzisiejszem posiedzeniu odczytano interpelacyę p. Głąbińskiego i tow. do prezydenta ministrów, oraz ministrów skarbu, kolei, rolnictwa, handlu i robót publicznych w sprawie umieszczenia i zatrudnienia wracających z Ameryki do Galicyi emigrantów. W interpelacyi wskazano na to, że około 250.000 robotników galicyjskich straciło w Ameryce zatrudnienie i zarobek skutkiem przesilenia ekonomicznego. Obecnie wracają oni do kraju. Oczywiście nie jest łatwo znaleźć na podstawie li tylko inicyatywy prywatnej zatrudnienie dla tak wielkiej liczby robotników, jest więc koniecznem, aby rząd poczynił odpowiednie zarządzenia i w czas powstrzymał grożącą krajowi klęskę. Wszystkie ministerstwa, które zatrudniają robotników we własnym zakresie, jako to przy budowie dróg, przy budowlach wodnych i kolejowych, są w tej poważnej chwili powołane do dostarczenia zajęcia i zarobku powracającym rzeszom.

Nadto wnieśli interpelacye: p. Breiter w sprawie aresztowania obywatela austryackiego Teodora Margla w Warszawie z powodu zbrodni politycznej; p. Eug. Lewicki w sprawie rzekomego teroryzowania ruskich wyborców i elementów opozycyjnych w Galicyi wogóle ze strony władz politycznych i sądowych w Galicyi z okazyi ostanich wyborów; X. Folys w sprawie rzekomego nadużycia subwencyi krajowej przez naczelnika gminy Serdyca w powiecie lwowskim; p. Baczyński w sprawie rzekomego nadużycia władzy przez dyrekcyę skarbu w Stanisławowie i w sprawie wsparć dla żołnierzy, którzy stali się niezdolnymi do służby; p. Ochrymowicz w sprawie rzekomego sfałszowania protokołu zeznań pewnego świadka przez praktykanta konceptowego Wójcikiewicza w starostwie w Zaleszczykach; p. Cegliński w sprawie upośledzenia języka ruskiego w dyrekcyi skarbu w Przemyślu.

Izba przystąpiła do rozprawy nad nagłością wniosku p. Choca w sprawie zniżenia podatku od cukru. P. Choc (czeski radykał) uzasadniając nagłość swego wniosku, zapewnia, że ten wniosek nie ma charakteru obstrukcyjnego. Mówca miał zamiar prowadzić obstrukcyę przeciw ugodzie i prowizoryum budżetowemu, lecz nie mógł w czas zebrać dostatecznej liczby podpisów na swoich wnioskach. Domaga się on zniżenia podatku cukrowego o 18 koron i prosi o przyjęcie wniosku.

HOTEL EUROPEJSKI.
ALBERT SZKOWROŃ.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 6 grudnia. M. br. Błażowska z Ryczowa. J. br. Błażowscy z Czeremchowa. M. Onyszkiewicz ze Stryja. R. Harok z Bielska. W. Strzeleccy z Nowoszyc. H Bernatek z Wiednia. G. Broders z Paryża. J. Nemes z Frankfurtu. A Kossecka z Rosyi. F. Kuśniewicz z Choraśnicy. J. Małuja i E. Kiwerski z Łaszczówki. G. M. Boros z Budapesztu.

HOTEL FRANCUSKI.
Restauracya. Pokój do śniadań. Wszelkie wina delikatesy.
Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 6 grudnia. M. Niewiadomski z Rzeszowa. S. Albinowski z Przemyśla. L. Rauch z Sokala. J. Begale z Ostrowa. T. Mokłowska ze Stryja. L. Cieński z Jabłonowa. J. Förster z Pragi. S. Sicher i S. Kanitz z Budapesztu. J. Sedlatschek, J. Duschak, M. Friedenfeld, R. Steiner. T. Sommer i N. Schuchny z Wiednia.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Budapeszt 6 grudnia. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 50 kilogramów). Pszenica na kwiecień 13·27—13·28, na październik 11·44—11·45; żyto na kwiecień 12·47—12·48, na październik 10·40—10·41; owies na kwiecień 8·64—8·65, na październik 0·00—9·00; kukurudza na maj 7·52—7·53. Rzepak na sierpień 17·10—17·20. — Oferty napszenicę: mierne. — Chęć kupna: słaba. — Usposobienie: silne. — Pogoda: pochmurno.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 6 grudnia.

Marki 117.82, renta majowa 96·65, węgierska renta koronowa 93·35, akcye: austr. zakł. kredyt. 636·50, węg. zakł. kred. 751·00, anglobanku 292·50 unionbanku 533.00, bankvereinu 519·00 länderbanku 410·50, kolei państw. 667·50, lombardy 150·50, akcye kolei Elbethal 422·20, fabryki broni 000.00, tytoniowe 411·50, alpiny 590·00, Rima Muranyi 521·50 [illegible] T. żel. 0000·00, losy tureckie 181·50 [illegible] 253·00 Usposobienie: spokojne.

5% renta rosyjska 1906 r. 89.05.

Lwów 6 grudnia. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Kar. Ludwika po 400 Koron —.— do —.— Kolej dworsko-Czern.-Jassy po 400 kor. 550— do 576—. Banku hipotecznego po 400 kor. 560·00 do 570·00 Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —.— do —.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 400 koron 400.— do 500·— Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 103·—110.—.

Listy zastawne za 100 K.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc prem 109·60 do 110·30 4 i pół proc. los. w 50 lat 99·00 do 99·70, 4 proc. los. w 60 lat 9[illegible]0. do 94·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 99·80 do 100·50. Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 94·00 do 94·70.— Tow. kred. Gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·00 do 00·00, 4 proc. los w 41 i poł latach 96·00 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 93·60 do 94·30.

Obligi za 100 K.: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro. 97·60—9[illegible]0. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 101·00 do 101·70. Kom. Banku kraj. 4½% (3-ej emisyi) 99·50 do 100·20. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4-procentowe po 200 koron 93·00 do 93·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 proc. —.— do —.— 4 pr c. z 1893 r 95.00—95.70, miasta Lwowa 4 proc. 93·00 do 92·70, 4% bez podatku (konwers.) 94·00 94.70,

Monety. Dukat cesarski 11·38 do 11·43. Napoleondor 19·06 do 19·15. 100 ruble rosyjskie papierowe 25[illegible]0 do 254·00. 100 marek niemieckich 117·60 do 118.20.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1 maja 1907 r. według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1.30, 8.40*,** 5.50*, 7.25. **8.55,** 9.45 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 1.10.
Z Podwołoczysk na dworzec główny: 7.20, 12.00, **2.16,** 5.40, 10.30*.
Z Podwołoczysk na Podzamcze: 7.01, 11.40, **2.00,** 5.15, 10.12*.
Z Czerniowiec: **12,20*,** 8.05, **2.25,** 3.55, 9.00*.
Z Kołomyi: 10.05.
Ze Stanisławowa: 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.10, 12.40.
Z Jaworowa: 8.22. 5.00.
Z Sambora: 8·00, 10.30, 1.55, 9.20*.
Z Ławocznego: 7.29, 11.50, 10.50*.
Z Tuchli: 3,51.
Z Bełzca: 4.50.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12.45*,** 3.45*, **8.25,** 8.40, **2.45,** 6.15*, **7.05*,** 7.20, 11.00*.
Do Rzeszowa: 4.35.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: 6.20, 10.45, **2.17,** 7.00*, 11.15*.
Do Podwołoczysk z Podzamcza: 6.35, 11.08, **2.32,** 7.24* 11.35*.
Do Czerniowiec: **2.51,** 6.10, 9.20, **1.55,** 10.40*
Do Stryja: 11.30*.
Do Rawy i Sokala: 6.12. 7.10*.
Do Jaworowa: 6.55, 6.30*.
Do Sambora: 6,00, 9.00, 4.30, 10,51*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 3.25.
Do Przemyśla Chyrowa 4 05.
Do Ławocznego: 7.30, 2.20, 6.25*.
Do Bełzca: 11.05.
Do Stanisławowa, Czortkowa, Husiatyna: 5.50.

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi: pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

56)

Śledztwo starej panny.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Kobieta w szarej sukni.

(Ciąg dalszy).

Pan Gryce twarz wykrzywił i zawołał głosem słodko-kwaśnym:

— Wywiedziony w pole przez kobietę! To dla mnie nowe wrażenie, panie inspektorze, i nie dziw się pan, że potrzebuję chwilki czasu do odzyskania równowagi. Oszukany i to przez posługaczkę. To przykro, panie inspektorze, bardzo przykro.

Mówiłam dalej w jaki sposób uzyskałam niezbity dowód, że zegar nie był nakręcony, ani nastawiony przez młodą kobietę, która dostała się do domu, a w miarę, jak mówiłam, twarz p. Gryce krzywiła się coraz więcej, a wzrok niemal płaczliwy zwrócił na kwiat mego dywanu.

— Hm! hm! — mruczał. — Więc moja piękna teorya o zegarze nakręconym przez zbrodniarza, jedynie w celu zapewnienia sobie *alibi*, była tylko dziełem mojej wyobraźni. To smutne, smutne! Jednak to było dobrze obmyślane i miało cechę prawdopodobieństwa; czy nie tak, panie inspektorze?

— Spodziewam się! — odpowiedział dobrodusznie, jednak głosem ironicznym, co mnie zastanowiło.

Inspektor, pomimo uwielbienia, jakie miał dla starego agenta, pomimo zaufania, jakie w nim pokładał, widocznem było tym razem, że cieszyi się jego niepowodzeniem. Może być, że nabierał więcej przekonania do własnego zdania, bo od początku sprawy miał na nią inny pogląd, niż pan Gryce.

— W rezultacie starzeję się. Oto co powiedzą jutro w urzędzie. Ale mów pani dalej, miss Butterworth. Powiedz mi pani, co się dalej stało. Jestem przekonany, że się pani na tem nie zatrzymała.

Usłuchałam jego prośby z możliwą skromnością. Trudno mi było ukryć zadowolenie wobec bezgranicznego zachwytu, z jakim słuchał mego sprawozdania. Podczas opowiadania o moich wątpliwościach co do pozbycia się paczek przez ukrywającą się parę, a dla wyjaśnienia ich opisałam moją nocną wycieczkę na Trenty-Sewent street, agent miał minę zdziwioną, poruszał ustami i z takiem zamiłowaniem spoglądał na kwiaty dywanu, że czekałam aż się nachyli, aby je zerwać. Ale gdy mówiłam o pralni jeszcze oświeconej i otwartej, o tak późnej godzinie i o odkryciach tam dokonanych, uwielbienie jego nie miało już granic, a zwracając się pozornie do kwiatów dywanu, a rzeczywiście do inspektora, zawołał:

— Nie mówiłem panu, że nie znałem drugiej podobnej? Powinniśmy byli sami pomyśleć o tej pralni. Czyśmy to zrobili? Wcale nie. Byliśmy zanadto łatwowierni i jakby oczarowani zeznaniami złożonemi przed sędzią śledczym. Co prawda, mam 77 lat, ale nigdy nie jest za późno, aby się czego nauczyć. Mów pani dalej, miss Butterworth.

Miałam dla niego wielkie współczucie i żałowałam go szczerze, ale muszę wyznać, że nigdy nie byłam szczęśliwszą.

Czy mogło być inaczej? Nie mogłam się wstrzymać, aby od czasu do czasu nie podnieść oczu na portret mego ojca, który się do mnie uśmiechał.

W dalszym ciągu opowiadałam o ogłoszeniu, jakie zrobiłam w dzienniku i o względach, jakimi się powodowałam w opisie kobiety tak a tak ubranej i bez kapelusza. Ten szczegół zdawał się wywierać na agenta silne wrażenie — wprawdzie spodziewane — gdyż przerwał mi silnem uderzeniem w swoją prawą nogę.

— Znakomicie! — zawołał — dzieło mistrzowskie, utwór genialnej kobiety. Ja sam lepiejbym nie zrobił, miss Butterworth. I co z tego wynikło? Spodziewam się, że coś bardzo ważnego. Zdolność taka, jak pani, powinna być wynagrodzoną.

— Skutek był taki, że otrzymałam dwa listy — odpowiedziałam. — Jeden od Coxa, głównego składnika kapeluszy, donoszący mi, że wczesnym rankiem wzmiankowanego dnia, młoda dziewczyna kupiła u niego kapelusz; drugi od niejakiej pani Desberger, naznaczający mi schadzkę, na którą się udałam, gdzie otrzymałam wskazówki, dające mi sposobność odnalezienia poszukiwanej osoby, która opuszczając miejsce zbrodni, chociaż miała na sobie suknie pani Van Burnam, nie jest panią Van Burnam, ale osobą nazwiskiem Oliver, i znajduje się obecnie w domu miss Althorpe na Twenty-First street.

Wskutek tego zeznania oddałam niejako całą sprawę w ręce tych panów i widziałam ich niecierpliwość, żeby jak najprędzej poznać tę młodą dziewczynę. Zatrzymałam ich jeszcze, aby im opowiedzieć, w jaki sposób odkryłam w jej bucikach banknoty, co podług mnie wyjaśniało, dlaczego nie chciała zmienić obuwia podczas bytności w hotelu D..

To był ostatni cios, jaki zadałam miłości własnej pana Gryce. Zatrząsł się z niezadowolenia, ale się wkrótce uspokoił i okazał tyle panowania nad sobą, że z prawdziwą przyjemnością rozbierał szczegóły tej nadzwyczajnej sprawy.

Radość jego doprowadzona została do szczytu, gdy mu opowiedziałam o poszukiwaniach, które przedsiębrałam w nadziei wynalezienia pierścionków i o pewności, do jakiej doszłam, że musiały się znajdować w motku bawełny, zawieszonym przy robótce miss Oliver.

Nie potrafię wytłumaczyć, czy jego uciecha pochodziła głównie ze zręczności, okazanej przez młodą kobietę w wyszukaniu skrytki, czy z mojej przenikliwości w odnalezieniu jej. W każdym razie moje sprawozdanie sprawiło mu ogromne zadowolenie, bo zawołał głośno:

— Cudownie! Nie zdarzyło mi się słyszeć nic ciekawszego. Od wielu lat nie widziano nic podobnego. Cieszę się nawet z omyłek, jakie popełniłem, bo pozwoliły na wykrycie tak subtelnych i przebiegłych szczegółów.

Jakkolwiek wielkie było zadowolenie agenta, ustąpiło jednak miejsca ciekawości poznania tej młodej dziewczyny, która, jeżeli nie była winowajczynią, w każdym razie była silnie w tę tragedyę wplątaną.

Ja również pragnęłam, aby się jak najprędzej do niej udał, obawiałam się bowiem, aby stan chorej nie sprzeciwił się do wydobycia z niej dodatkowych wiadomości co do wątpliwych kwestyi tej sprawy, tak jeszcze do rozwiązania dalekiej. Zaleciłam również panu Gryce odwiedzenie Chińczyka i pani Desberger, nawet panią Boppert. Nie chciałam oczywiście, aby mi wierzył na słowo, chociaż widocznem było, że pozbył się względem mnie pogardliwego tonu i przyjmował z uznaniem moje uwagi.

Dopóki inspektor dotrzymywał nam towarzystwa, mówił do mnie swobodnie, ale po jego odejściu, p. Gryce odezwał się głosem przejętym, jakiego dotąd nigdy nie używał:

— Przeszkodziła mi pani, miss Butterworth, popełnić głupstwo. Gdybym był kazał uwięzić dziś Franklina Van Burnam, a nazajutrz te szczegóły były wiadome, nie śmiałbym nigdy oczu podnieść. I tak nawet kochani koledzy będą mi przymawiać i powtarzać, że Gryce się starzeje i widocznie traci na umyśle.

— Co za myśl! — zawołałam gorąco. — Ni wpadłeś pan jedynie na właściwy trop. Ja sama, w celu znalezienia go, nie użyłam wyjątkowej inteligencyi; wypadek, okoliczności dokonały tego. Bądź pan spokojny o swoje wawrzyny. Zresztą pozostaje jeszcze w tej sprawie zajęcie dla większego niż pan agenta. Jeżeli nie można wydać wyroku o winie Van Burnamów, to jednak niedostatecznie są oczyszczeni z podejrzenia, abyś pan mógł uważać swoją czynność za skończoną. Jeżeli to Ruth Oliver dokonała tej zbrodni, który z dwóch braci był jej wspólnikiem? Pozory zdają się obciążać Franklina, ale nie dość jasno, aby pod tym względem nie było wątpliwości.

— Bardzo słusznie. Tajemnica, zamiast się wyświecić, zaciemniła się. Miss Butterworth, bądź pani łaskawa towarzyszyć mi do miss Althorpe.

XXXIV.

Wszystko! Wszystko wiedzą!

Pan Gryce posiada przewagę, której mu zazdroszczę; jest to zdolność ujmowania sobie ludzi. Jeszcze nie bawił pięciu minut w domu miss Althorpe, a już posiadał jej zaufanie i rozporządzał całym domem. Ja, żeby dojść do tego rezultatu, musiałam użyć całej wymowy, jemu... wystarczyło jedno słowo i jedno wejrzenie.

Miss Oliver, o którą nie śmiałam się pytać, bo obawiałam się dowiedzieć, że znowu znikła, albo jest więcej chorą, była rzeczywiście zdrowszą, a idąc do jej pokoju miałam nadzieję, że wkrótce będziemy mieli odpowiedź na pytania, tak bardzo nas zaciekawiające i że tajemnica nareszcie odkrytą zostanie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Tow. akc. Braci Fiałkowskich. Z drukarni E. Winiarza.